

**Grzegorz Gortat**

**Patron**

**Dom Wydawniczy REBIS**

*Copyright © 2003 by Grzegorz Gortat*

*Jeśli mówimy, żeśmy bez grzechu, sami się zwodzimy i  
prawdy w nas nie ma. Musimy więc grzeszyć  
i w ślad za tym umierać (...)*

Christopher Marlowe,  
*Tragiczne dzieje doktora Fausta*

Wykorzystane w tekście dzieła literackie w przekładzie autora

## Zamiast wstępu

Zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów twierdzić, że do opisywanych tu wydarzeń mogłoby nigdy nie dojść, gdyby redaktor Majmaniec zarekomendował jednak otrzymany rękopis książki, a kanarek profesora Brzóska nie wyleciał za okno. Ktoś taki mógłby nawet posunąć się do stwierdzenia, że cała historia potoczyłaby się zgoła inaczej, gdyby Leonardo nie namalował *Wygnania z Raju* oraz, co w tej opowieści równie istotne, gdyby obrazu tego nigdy nie odnaleziono. Jednakże mówiąc tak, przyjmowałby za pewnik, że w życiu decydującą rolę odgrywa przypadek. Nic bardziej mylnego. Każda rzecz bowiem ma przypisane jej miejsce, tak jak każda historia ma tylko jej przynależne zakończenie.

Chociaż, oczywiście, zdarzają się wyjątki...

Prolog  
**Nie tylko Paryż**

Lucyfer zamknął francuskie wydanie *Nędzników* z 1862 roku. Pogładził oprawną w safian okładkę.

– Tak, Monsieur – powiedział i westchnął nostalgicznie. – Rzadko rodzi się talent tej miary.

– Nie lubię Francuzów – burknął Monsieur.

– Wiem, ten zadawniony uraz. Ale przez pięć wieków Paryż bardzo się zmienił.

– Jedyne, co dali światu dobrego, to koniak.

– Jesteś niesprawiedliwy.

– To nie tobie przysmażali pięty!

Lucyfer machnął lekceważąco ręką.

– Kto ogniem wojuje, ten może się poparzyć. Zaprowadziłeś na stos więcej osób niż wielebni Jacob Sprenger i Heinrich Krämer. – Włożył do ust dwie pastylki tic taca. – Więc jak, dasz się namówić na wyjazd do Paryża?

– Nie tym razem. Może kiedy indziej. Czas nas nie goni.

– Nauczyłeś się korzystać z komfortu wieczności. Życie rządzi się innymi prawami.

Monsieur nagle przybrał oficjalny ton.

– Wybacz, Mistrzu, ale dałem sobie słowo, że moja noga więcej we Francji nie postanie. Poradziłeś sobie beze mnie przedtem, dasz sobie radę i teraz.

Lucyfer rozłożył ręce.

– Niestety, nie każdy wyjazd kończył się sukcesem. Historia z Hugo jest tego najlepszym przykładem. – Nie wstając z fotela, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Wybrał wieczorne wiadomości na CNN. – Trudno, odpuszczę sobie na razie Paryż – postanowił. – Rozejrzemy się za czymś innym. W końcu na niebie świeci więcej niż jedna gwiazda.

Monsieur poruszył się niespokojnie. Wziął ze stolika numer „Scientific American” i z ponurą miną przerzucił kilka kartek. Lucyfer przyjrzał mu się z uwagą.

– Czemu zmarkotniałeś?

– Wiesz, że byle wzmianka o niebie źle na mnie działa. – Monsieur sięgnął po papierosa i zaczął nerwowo miętosić filtr.

– Niepotrzebnie, mój drogi. – Lucyfer poklepał go uspokajająco. Wyjął zapalniczkę i podał mu ogień. – Przegraliśmy bitwę, ale to jeszcze nie koniec wojny. Mamy przed sobą całą wieczność.

## Rozdział 1

### Siódmy list

Pogodne od rana niebo pociemniało, zerwał się wiatr. Nisko wiszące chmury zwiastowały burzę. Julian przyspieszył kroku. Zdążył skryć się w bramie, kiedy spadły pierwsze grube krople majowego deszczu. Zagrzmiało potężnie. Wszedł do odrapanej klatki schodowej i z przyzwyczajenia najpierw skierował się do skrzynek na listy. W przegródce z numerem 35 coś się bielilo. Odstawił teczkę, pospiesznie otworzył skrzynkę i wyjął zwykłą kopertę. W lewym górnym rogu widniał stempel nadawcy: Oficyna Wydawnicza Domino, pośrodku wykaligrafowane były dane adresata: SzP Julian Rotas, Warszawa, al. 3 Maja... Pomacał kopertę. Cienka, chociaż to jeszcze nic nie znaczy. Drżącą ręką wsunął przesyłkę do kieszeni marynarki, zabrał teczkę i podszedł do windy. Przycisk palił się na czerwono, jednak winda stała w miejscu. Pewnie ten z szóstego znowu nie zamknął drzwi. Julian chwilę nasłuchiwał, w końcu zrezygnowany ruszył schodami w górę. Wdychając obiadowe zapachy wypełniające klatkę schodową, dotarł na trzecie piętro. Chwilę mocował się z otwartym oknem, przez które wdzierały się strugi deszczu. Zatrzasnął je wreszcie, ominął kałużę wody na mocno sfatygowanej posadzce i jak najciszej otworzył drzwi do mieszkania.

W przedpokoju rozebrał się bezszelestnie. Wyjął list z kieszeni marynarki i na palcach przeszedł do jadalni. Zaskrzypiały deski podłogi.

– Julek, to ty?

Drzwi do pokoiku babci Janiny były uchylone.

– Wróciłem.

Siedziała w wózku inwalidzkim obok nie zasłanego łóżka, opatulona w pled, z różańcem w ręku. Monotonny głos z radia powtarzał: „Dla Jego bolesnej męki...”

Prawda, dopiero piętnasta, pomyślał Rotas. Pora na koronkę.

– Wcześniej dzisiaj jesteś. – Przesunęła w palcach kolejny paciorek.

– Zwolniłem się w redakcji. Wieczorem idę do Zachęty. Dziś otwarcie tej wystawy, o której pisałem. – Poprawił jej pled, ze stolika przy wózku zabrał pusty talerz po zupie. – Która opiekunka dzisiaj była? Krysia? Nie mogła poczekać, aż zjesz?

– Młode jeszcze, mają swoje życie. Wpadają jak po ogień i pędzą dalej. Kto by się starymi zajmował. – Pochylona w stronę radioodbiornika, kiwając rytmicznie głową, podjęła przerwana modlitwę.

Wycofał się tyłem do progu. Z obrazu nad łóżkiem babci Janiny patrzyła na niego Święta Rodzina: Święty Józef zajęty ciesielką, Matka Boska z Dzieciątkiem na kolanach, śnieżnobiałe gołębie wydziobujące ziarna z drobnej rączki Zbawiciela.

„Miej miłosierdzie dla nas i świata całego”. Zamknął drzwi i modlitwa ucichła.

Zaniósł talerz do kuchni i wrócił po list, który zostawił na stole w jadalni. Rozerwał kopertę. Szybko przebiegł wzrokiem krótki tekst:

*Szanowny Panie*

*Dziękujemy za przedłożoną propozycję. Z przykrością odpowiadamy, że nadesłany tekst nie mieści się w profilu wydawniczym naszej oficyny.*

*Z poważaniem*

*Wiktor Kucaj*

*sekretarz redakcji*

Odłożył list i poszedł do łazienki. Długo mył twarz w zimnej wodzie. Spojrzał w lustro. Czerwone plamy na czole, policzki rozpalone, podkowy pod oczami. Wiktor Kucaj! Raczej Połamany Kutafon! Pewnie nawet nie zajrzał do maszynopisu!

Wsadził głowę pod strumień lodowatej wody. Pomogło nie na długo. Kiedy wrócił do pokoju, twarz wciąż go piekła, jakby ktoś przykładł mu do skóry rozpalone żelazo. Otworzył staroświecki sekretarzyk sąsiadujący z

solidną mahoniową biblioteczką, która zajmowała niemal całą ścianę. Oba meble, cudem ocalałe z wojennej pożogi, nosiły jeszcze ślady fajki dziadka, któremu zdarzało się przysnąć przy lekturze prawniczych kodeksów. Opasłe tomiska stały teraz na najwyższej półce biblioteczeki obok botanicznych albumów i zajmującej niższe półki, oprawnej w skórę, przedwojennej Biblioteki Beletrystycznej Towarzystwa Wydawniczego J. Mortkowicza, na której mały Julek pod okiem dziadka wprawiał się w czytaniu. Na szczycie sekretarzyka, przy zaśnieżonym krucyfiksie, który dziadkowie przywieźli z podróży poślubnej z Asyżu, stało czarno-białe zdjęcie w porcelanowej ramce. Scenka rodzinna sprzed trzydziestu lat: matka w jasnej, krótkiej sukience, roześmiana, z bukietem jesiennych liści, przy niej ojciec w śmiesznej sportowej czapce z daszkiem, między nimi trzyletni Julek, wszyscy troje na tle świeżo kupionej skody. Rodzice roztrząskali się w niej trzy miesiące później na oblodzonej szosie pod Krakowem.

Machinalnie przysunął zdjęcie bliżej krucyfiksowi, tak jak uczyła go babka. Z dolnej szuflady sekretarzyka wyjął białą biurową teczkę i wysypał jej zawartość na stół. Sześć krótkich listów, z powtarzającymi się jak zaklęcia formułkami: „Dziękujemy za nadesłany tekst”, „Z zainteresowaniem zapoznaliśmy się”, „Z uwagi na napięty plan wydawniczy”, „Odbiega od profilu naszej oficyny”. Dołączył do nich dzisiejszy list. Siedem odmownych odpowiedzi. Siódemka. Szczęśliwa liczba. A jakże, szczęściarz z niego, jakich mało! Prawdziwy wybraniec losu!

Z pokoiku babki dobiegł go suchy kaszel. Usłyszał skrzypienie wózka, a zaraz potem z radia popłynął chór głosów i śpiew staruszki wtórującej im głośno: „Kto się w opiekę odda Panu swemu i całym sercem szczerze ufa Jemu...”

Podarł list na drobne kawałki. Tak samo postąpił z pozostałymi. Przeniósł strzępy papieru w obrusie do kuchni i wrzucił je do zlewu. Przytknął zapalnik, ale nie chciały się zapalić. Zajął się płomieniem dopiero wtedy, kiedy polał je odrobiną rozpuszczalnika. Musiał otworzyć kuchenne okno, żeby dym nie rozszedł się na całe mieszkanie. Deszcz padał bez przerwy.



Nagle błysnęło i gdzieś niedaleko uderzył piorun. Julian instynktownie odsunął się od okna.

\*\*\*

Przygotował babci Janinie płatki na kolację i dopilnował, żeby zjadła. Grymasiła jak dziecko, ale wmusił w nią prawie cały talerz. Podał jej basen, a następnie pomógł przejść z wózka na łóżko. Położyła się na wznak, z różańcem w ręku, wpatrzona w Świętą Rodzinę na obrazie. Zaprotestowała, kiedy chciał wyłączyć radio. Ktoś obdarzony ciepłym głosem przekonywał właśnie, że korzystanie z usług bioenergoterapeutów i wróżek to prosta droga do duchowej katastrofy. „Nierzadko zasłaniają się krzyżem, a są więźniami ciemnych mocy i innych pociągają za sobą w przepaść...”

Wziął prysznic, włożył niebieską koszulę i ciemny garnitur. Po namyśle zmienił koszulę na czerwoną i wybrał popielaty garnitur. Uznał, że bardziej mu pasują do ciemnoblonde włosów i szaroniebieskich oczu. Obejrzał się w lustrze. Był nieco ponad średniego wzrostu, ale trzymał się prosto i dzięki temu wydawał się wyższy. Gdyby nie te wąskie usta i nieco spiczasty nos mógłby uchodzić za przystojnego. Może powinien zapuścić brodę? Twarz stałaby się bardziej wyrazista. Kiedy Joanna chciała mu dokuczyć, mówiła, że jest równie szary jak kanonik z Trzebiatowa. Chociaż kto by trafił za kobietami. Gdy przestała się z nim spotykać, okazało się, że jej nowym wybranym jest korpulentny łysy sadownik z Grójca.

Dochodziło wpół do szóstej. Zadzwoił do redakcji działu miejskiego i upewnił się, że materiał o przeterminowanych owocach w stołecznych supermarketach ukaże się w jutrzejszym wydaniu. Wyrzwał przez okno. Padało i nic nie wskazywało na rychłą zmianę pogody. Zadzwoił po taksówkę i w oczekiwaniu na jej przyjazd wypił filiżankę mocnej kawy. Przed wyjściem wrócił jeszcze do kuchni i starannie umył zlew, splukując resztki spopielonych listów.

## Rozdział 2

### **Obiecująca znajomość na wernisażu**

Ulice sąsiadujące z gmachem Zachęty już przed osiemnastą wypełniały się samochodami. O wpół do siódmej w promieniu kilometra nie było wolnego miejsca. Jedynie podjazd prowadzący do Zachęty pozostawał pusty w oczekiwaniu na przybycie honorowych gości. Dziennikarze czatujący z kamerami tłoczyli się pod prowizorycznym zadaszeniem postawionym przez ekipę telewizji niemieckiej ARD, które dawało mizerną ochronę przed deszczem. Niemal cały fronton budynku zajmowała biała tablica, na której widniały słowa wymalowane własnoręcznie przez Mistrza:

„TRÓJUGWOZDŻENIE”

ARCHETYPOWY KONCEPTUALIZM KRZYŻA

WITOLD HORNIK

15 MAJA – 15 LIPCA

W otwartych drzwiach budynku stał dyrektor Zachęty Henryk Droński. Za nim cisnął się tłum zaproszonych gości; ukryli się przed deszczem w holu, ale czuwali, żeby nie przegapić przybycia Witolda Hornika. Droński zerkał niecierpliwie na zegarek. Raz po raz sprawdzał, czy kartka z przemówieniem nie wysunęła mu się z kieszeni marynarki. Krępy, krótkonogi, w grubych szklach krótkowidza, wyglądał nieco fajtłapowato przy towarzyszącej mu asystentce. Helena Saafjan była filigranową szatynką o wyrazistych niebieskich oczach, które nadawały jej dziewczęcej twarzy wyraz ustawicznego zdziwienia. Obcisły jasnobezowy kostium podkreślał smukłość sylwetki, wydobywając mocne wcięcie w pasie i uwypuklając drobne piersi. Krótko ostrzyżone włosy miała lekko wilgotne od deszczu; nie zaglądając do lusterka, przyglądała je ręką.

Dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt pięć przed gmach Zachęty zajechała srebrna lancia z ministrem kultury. Szczepan Kralec wygramolił się z samochodu, obciągnął kusą marynarkę i biegiem pokonał kilka metrów dzielące go od wejścia. Przywitawszy się pospiesznie z Drońskim, przemaszerował przez hol i zniknął w toalecie. Tam z cierpiętniczą miną zmagął się jakiś czas z kolejnym atakiem kolki nerkowej. Wraz z wybicciem dziewiętnastej wyłonił się, nieco pobladły, na korytarz. W tym samym momencie przed Zachętę bezszelestnie zajechał czarny rolls-royce i wysiadł z niego Witold Hornik.

Mistrz miał na sobie białą atlasową pelerynę, zapinaną z przodu na guziki z masy perłowej, pod nią białą marynarkę i także spodnie, z którymi kontrastowały czarne lakierki. Mimo pięćdziesięciu lat zachował młodzieńczą figurę i sprężystość ruchów. Na wygolonej głowie bielił się meszek, starannie przystrzyżone śnieżnobiałe wąsy i biała bródka odcinały się od ogorzalej cery. Wyraziście zarysowane brwi miał kruczoczarne i ostro wygięte, co w połączeniu z ciemnymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi nadawało twarzy nieco azjatycki wygląd. Mierzył blisko metr dziewięćdziesiąt i towarzyszący mu sekretarz musiał wyciągać rękę, żeby utrzymać nad głową Mistrza olbrzymi czarny parasol. Otoczeni przez gromadę dziennikarzy, przedefilowali obaj dostojnie do gmachu Zachęty.

Droński napał plecami na cisnący się za nim tłum, żeby zrobić przejście gościowi.

– Witamy, Mistrzu. Zaszczyt to, doprawdy, ogromny zaszczyt – wymamrotał, ściskając artyście rękę.

– Kralec jest? To zaczynamy – odparł Hornik obcesowo.

Odpiął pelerynę, rzucił ją sekretarzowi i w chwilę potem, witany oklaskami, sunął środkiem holu ku schodom. Droński dreptał krok za nim. Helena Saafjan została nieco w tyle, żeby z sekretarzem Hornika omówić ostatnie szczegóły otwarcia wystawy. Minister Kralec przedarł się przez tłum, obciągnął kusą marynarkę i ukloniwszy się pierwszy, wypowiedział wyuczoną na pamięć formułkę:

– Proszę przyjąć moje najszczerze gratulacje z okazji waszyngtońskiego wyróżnienia. Sukces niezaprzeczalny. I jaka chwała dla kraju. Bądź co bądź, jest pan pierwszym żyjącym artystą europejskim, który ma stałą ekspozycję w Museum of Modern Art.

– Pierwszym nieamerykańskim artystą – poprawił go Hornik. Nie zwalniając kroku, dodał: – Gwoli ścisłości, Museum of Modern Art jest w Nowym Jorku.

U szczytu schodów, na lewo od drzwi prowadzących do sali wystawowej, która tonęła jeszcze w ciemnościach, stały dwa mikrofony. Droński poprowadził gościa do jednego, sam stanął przy drugim. Wyjął z kieszeni marynarki kartkę, rozłożył ją nerwowo.

– Szanowni państwo – zaczął czytać z namaszczeniem – propozycja zorganizowania wystawy Witolda Hornika – tu dyrektor złożył głęboki ukłon w kierunku artysty – była dla mnie od początku ogromnym wyzwaniem, ale też powodem do radości. Wyzwaniem, albowiem zdawałem sobie sprawę, że talent tej miary zyskać musi należną mu oprawę. Powodem do radości, jako że Warszawa, uhonorowana wystawieniem dzieł tak nieprzeciętnych, dołącza oto do grona światowych stolic sztuki. Zachęta może od dziś śmiało konkurować z placówkami muzealnymi, które wcześniej dostąpiły zaszczytu prezentacji prac Mistrza. Nie jesteśmy gorsi od Prado, Ermitażu, Metropolitan Museum of Art, Luwru czy Museum of Modern Art. A jednocześnie jesteśmy pierwsi. Wystawa dzisiejsza bowiem, która z całą pewnością stanie się wydarzeniem artystycznym roku, jest również premierą. Mistrz pokaże nam swoje najnowsze dzieła. – Skończył i z ulgą złożył kartkę. Spojrzawszy w stronę Hornika, dodał: – Nie jest dla nikogo tajemnicą, że Witold Hornik w tym tygodniu zainaugurował stałą ekspozycję swych prac w prestiżowym nowojorskim Museum of Modern Art. Od siebie dodam, że skrócił pobyt w Stanach o dwa dni specjalnie po to, by móc uczestniczyć w tym wernisażu. Drodzy państwo, artysta i jego dzieła są dzisiaj z nami.

Błysnęły flesze aparatów, huknęły oklaski. Hornik zaczął cicho mówić, nie czekając, aż brawa umilkną:

– Boskość odarta z życia. Bóg odarty z boskości. Bóg–człowiek. Może bardziej człowiek niż Bóg. Osądzony, przybity do krzyża, złożony do grobu. Martwy. Co go zabiło? Gwoździe. Prawda, zginął z czyjejs ręki, skazany czymś wyrokiem za takie czy inne winy. Bóg, Syn Boży i Duch Święty. Bóg w trzech osobach. I trzy gwoździe, które go uśmierciły. Po jednym na każde z boskich wcieleń. Trzy gwoździe. Trójgwożdzenie.

Helena Saafjan podsunęła Kralcowi srebrną tacę z nożyczkami. Minister ujął nożyczki w dwa palce i powolnym ruchem przeciął wstęgę zawieszoną u wejścia do sali.

– Szanowni państwo, mam przyjemność uznać wystawę za otwartą – oznajmił dramatycznie.

Pierwszy wkroczył na salę Hornik. Za nim, posuwając się niepewnie w ciemności, zaczęli wchodzić goście. W górze rozjarzyły się kuliste lampki; dawały akurat tyle światła, by idący nie wpadali na siebie. Nagle rozbłysnął na czerwono reflektor i wydobył z mroku wysoką postać. Hornik stał z rozłożonymi rękami pod górującym nad nim masywnym krzyżem, w snopie czerwonego światła jakby skąpany we krwi. Teraz, w równych odstępach, zapaliły się trzy punktowe jarzeniowe lampy, nakierowane na różne miejsca krzyża. Powstały trzy świetliste aureole; pośrodku każdej wbity był solidny gwóźdź przytrzymujący białą kartkę formatu A4, na której znajdował się tekst sporządzony z liter wyciętych z gazet. Nad głową Hornika widniały słowa „Bóg Ojciec”, nad jego prawą ręką rozciągał się napis „Syn Boży”, nad lewą zaś – „Duch Święty”. Hornik stał jak posąg, zapatrzony przed siebie. Nagle jego ciało przeszedł dreszcz. Wyciągnął się jak struna, wstrząsany drgawkami rozczapierzył palce. Głowa opadła mu na piersi. Nastąpiła kompletna cisza. Przerwały ją modulowane, narastające dźwięki dochodzące z niewidocznych głośników: łomot bębnow i kotłów imitujących burzę, wściekłe buczenie wiatru, piskliwe zawodzenie skrzypiec targanych za struny. Przez tę kakofonię przebiło się wołanie Hornika:

– Bóg umarł!

Zgasły lampki na suficie, aureole na krzyżu zniknęły. Sala pogrążyła się na powrót w ciemnościach. Nie trwało to długo. Jak za włączeniem jednego przycisku rozbłysły setki wielobarwnych światełek. Stłoczeni pod ścianami widzowie patrzyli, jak Hornik, podobny do białoskrzydłego anioła, oddala się majestatycznie od stojącego pośrodku sali krzyża. Wypełniło się. Bóg umarł. Bóg zmartwychwstał.

Pierwszy zaklaskał Wiesław Gibała, kierownik działu kultury w dzienniku „Racja” a zarazem wszechmocny ekspert w sprawach sztuki i krytyk literacki w jednej osobie. Szybko dołączył do niego minister Kralec. W narastającej burzy oklasków dziennikarka telewizyjnej „Jedynki” rozpoczęła umówiony wcześniej wywiad z Mistrzem. Ekipa CNN, torując sobie drogę w tłumie zwiedzających, filmowała skrupulatnie każde z eksponowanych dzieł; równo za dwa miesiące przypadały pięćdziesiąte urodziny Witolda Hornika i z tej okazji CNN, wspólnie z ABC i NBC, zamierzały wyemitować specjalny program poświęcony twórczości artysty. Kamerzysta niemieckiej ARD wdał się w krótką sprzeczkę z Japończykami z telewizji NHK, którzy jego zdaniem zbyt długo okupowali miejsce przy krzyżu. W końcu dał za wygraną i z towarzyszącą mu reporterką przeszedł w zaciemniony kąt sali, który zajmowała trzymetrowej wysokości instalacja zatytułowana *Ubogi w Raju*. Figura Chrystusa – wykonany z drutu szkielec, obciążony strzępami gazet i kolorowych czasopism – przybita była trzema zardzewiałymi gwoździami do sztucznej palmy imitującej drzewo poznania. Na lewo od rajskej sceny ustawiono wolno obracający się walec, oblepiony papierowymi reprodukcjami najsłynniejszych scen Ukrzyżowania i przebity na wylot trzema długimi szpikulcami w kształcie gwoździ. Przy przeciwległej ścianie piętrzyła się piramida z pustych kartonów po telewizorach Sony; oglądana z dowolnego miejsca, przypominała nieforemny krzyż, na którego szczycie tkwiła imitacja anteny telewizyjnej wykonana z trzech srebrzystych gwoździ.

Najwięcej widzów zgromadziła instalacja zatytułowana *Grobowanie*. W dużej drewnianej ramie artysta umieścił leżącego Zbawiciela. Figura miała kończyny z kawałków drewna połączonych drutem i przyczepiona była do

górną listwy za pomocą sznurków przymocowanych do trzech gwoździ. Wystarczyło lekko pociągnąć za koniec oznakowanego sznurka, by Chrystus – niczym drewniana marionetka – powstawał z symbolicznego grobu.

– Niezwykłe, bardzo refleksyjne – orzekł z zadumaną miną Kralec. Niepewnym ruchem pociągnął za koniec sznurka. Chrystus dźwignął się, niezdarnie potrząsając drewnianymi kończynami, po czym osunął się z powrotem na niewidzialne mary. Minister zaczął kartkować katalog.

– Ramy to analogia ludzkiej egzystencji – przyszedł mu w sukurs krytyk Gibała, który zbliżył się z grubym notesem i otwartym piórem w rękę. – Człowiek zamknięty w celi życia: narodziny–śmierć. Stąd wołanie o nieśmiertelność. Szukając nieśmiertelności, instynktownie pragniemy Boga, który zmartwychwstaje. Ale karmimy się ułudą. Odradzamy się bowiem tylko na chwilę, by zaraz umrzeć. Bóg jako byt doskonały jest nieśmiertelnością, ale Bóg–Człowiek w pełni uczestniczy w naszej nicości. Sznurek opada i zmartwychwstały staje się na powrót skazaną na śmierć marionetką.

– Niebawem – mruknął Kralec. – Jakież to czytelne i proste.

– Doskonale pan to ujął. Ta wystawa jest dla mnie prawdziwym objawieniem. Genialne transponowanie religijnego uniwersalizmu do sfery indywidualnych doznań i doświadczeń. Bezbłędne nakreślenie archetypu Bóg–Syn–człowiek. Dzieło na miarę talentu Mistrza. To kolejny krok w kierunku wyzwolenia sztuki od sztywnych norm, zrzucenia kajdan konwencji. Cudowne, niebawem przeżycie. Będę o tym pisał w sobotnim wydaniu „Racji”.

Kelnerzy krążyli po sali z tacami zimnych przekąsek i trunkami. Helena Saafjan zostawiła dyrektora Drońskiego, który nie odstępował Hornika na krok, pławiąc się w świetle telewizyjnych reflektorów. Przywołała kelnera i podeszła do stojącego samotnie Juliana Rotasa.

– Czerwone czy białe? – zapytała.

Drgnął zaskoczony.

– Słucham?

– Ja wolę czerwone.

– A... To i ja poproszę. – Wziął z tacy kieliszek i stał bez słowa, onieśmielony jej bezpośredniością.

Przechyliła głowę i przyjrzała mu się z uśmiechem. Kiedy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się małe dołeczki, a brwi unosiły się filuternie.

– Helena Saafjan – przedstawiła się. – Asystentka dyrektora Drońskiego.

– Julian Rotas.

Rękę miała ciepłą, aksamitną w dotyku. Przeszedł go miły dreszcz.

– Wiem, widziałam tu już pana. To pan redagował katalog wystawy Hornika. Przejdźmy się. Przedstawię pana kilku osobom.

Pociągnęła go lekko w stronę Kralca i Gibały. Minister słuchał z boleśnie zmarszczonym czołem wywodów Gibały. Odczekała, aż krytyk skończy, i zagadnęła:

– Panie ministrze, miło nam gościć pana w Zachęcie. Mam nadzieję, że za przykładem redaktora Gibały będzie pan u nas od dzisiaj stałym bywalcem.

– Istotnie, ta wystawa zachwyca, poraża – wydukał Kralec niezupełnie na temat.

– Chcę panom przedstawić pana Juliana Rotasa, współredaktora katalogu naszej wystawy. – Spojrzała badawczo na Gibałę. – Ale panowie się na pewno znają. Pracujecie panowie w jednej gazecie.

Gibała przyjrzał się Rotasowi.

– Niestety, nie kojarzę. Jaki dział?

– Redakcja działu miejskiego – bąknął cicho Rotas.

– A, wkładka stołeczna – skwitował Gibała bez zainteresowania. Nagle dojrzał Hornika, który zmierzał w ich stronę w towarzystwie dyrektora Zachęty. – Przepraszam, chciałem zamienić kilka słów z panem Hornikiem.

Odwrócił się, uśmiechnął promiennie i ruszył Hornikowi naprzeciw. Ale artysta minął go bez słowa. Wymachując katalogiem, sunął prosto na Juliana Rotasa.



– Pan mi za to odpowie! – krzyknął. – Jakim prawem zmienił pan moje *Artystyczne Credo*?

Minister Kralec odsunął się od Rotasa na bezpieczną odległość.

– Niczego nie zmieniałem – wyjąkał dziennikarz. – W *Artystycznym Credo* robiłem tylko korektę.

– Partacz! – wrzasnął Hornik. Nie zważając na tłum gapiów, przedał katalog na pół i cisnął na podłogę. – Nigdy więcej niczego nie napiszesz! Żadna gazeta niczego od ciebie nie przyjmie. Mogę ci to obiecać!

– Ależ uspokój się, Witoldzie! – rozległ się z boku stanowczy męski głos.

Julian spojrział w stronę, z której głos dochodził. Mężczyzna przebił się przez krąg gości i podszedł do Hornika i Juliana. Był średniego wzrostu, choć z racji szczupłości sylwetki wydawał się nieco wyższy. Jasnoniebieski garnitur leżał na nim nienagannie, komponując się z granatowym golfem. Cerę miał jasną, lecz nie chorobliwie bladą, oczy ciemnoniebieskie, rzęsy i brwi prawie czarne, za to włosy – lekko kręcone, niezbyt długie, w tyle opadające na kołnierz golfa – jasne, jakby skąpane w słońcu. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat, ale w sposobie bycia miał coś, co sprawiało, że wydawał się dużo starszy.

Nieznajomy spojrział na Juliana z przeproszającym uśmiechem, po czym, wciąż uśmiechnięty, zwrócił się do Hornika:

– Niepotrzebnie się irytujesz, Witoldzie. To ja wprowadziłem w ostatniej chwili poprawki. Zresztą niewielkie.

– Niewielkie? – prychnął Hornik.

– Ależ tak. „Trójpostaciowość Boga” zamieniłem na „wielopostaciowość Stwórcy”. No i od siebie dodałem wynikające z powyższego spostrzeżenie, że tak jak definicja i obszar funkcjonowania sztuki ulegają ewolucji, tak przemianie podlegają podstawowe pojęcia dotyczące istoty boskości. Żeby nie szukać daleko, wystarczy przypomnieć słowa świętego Pawła, że wraz z przyjęciem chrztu wszyscy stajemy się pneumatykami. – Popatrzyl po twarzach obecnych. – Oczywiście, mówię o

rzeczach powszechnie znanych. Ta wystawa z pewnością przyczyni się do tego, że zaczniemy wybiegać spojrzeniem znacznie dalej i wyzbędziemy się lęku przed stawianiem odważnych pytań. – Ujął Hornika pod łokieć i lekko pociągnął. – Pozwól, Witoldzie, obiecałeś wywiad dla „Paris Match”. Specjalnie w tym celu przylecieli.

Rozpłynęli się w tłumie zwiedzających. Julian poczuł na ramieniu czyjś dotyk. Odwrócił szybko głowę. Helena Saafjan uśmiechała się z zażenowaniem.

– Przepraszam za ten incydent.

– Kto to był?

– Pogromca Hornika? Henryk Stockenhausen, pisane przez „ck”.

Właściciel firmy reklamowo–promocyjnej TeNeT. Specjalista od treningu osobowości i kształtowania wizerunku. Niewiele więcej o nim wiadomo.

– Ma na Hornika aż taki wpływ?

– Podobno zajmuje się wyszukiwaniem i promocją talentów. Nie znam początku całej historii, ale to właśnie dzięki niemu Hornik tak naprawdę zaistniał. W osobie Stockenhausena ma mecenasa, protektora i patrona.

– Pani Heleno, pani Heleno! – przerwał jej głos Drońskiego. Dyrektor stał przy nich i ocierał czoło chusteczką. – Może mi pani pomóc z Francuzami? Wie pani, jak to jest z tym moim francuskim...

– Już idę. – Stała twarzą do Juliana i wręczyła mu wizytówkę. Znow poczuł dotyk jej ręki. – Cieszę się, że mogłam pana poznać. Proszę wybaczyć, obowiązki.

Rozejrzał się po sali. Goście, zbici w małe grupki, zajęci byli raczej degustowaniem alkoholi niż oglądaniem wystawionych prac. Z holu, gdzie palacze urządzili sobie palarnię, wciskał się na salę tytoniowy dym. Julian odstawił pusty kieliszek i ruszył ku wyjściu. Rozglądał się, czy nie zobaczy gdzieś Heleny. Przepadła jak kamień w wodę. Był już na parterze, przy drzwiach, kiedy usłyszał za sobą szybkie kroki. Obejrzał się mimowolnie. Zmierzał ku niemu w pośpiechu „protektor” Hornika.

– Pan już wychodzi? – zagadnął, zrównawszy się z Julianem.

– Mam rano dyżur w redakcji – skłamał.

– Ach, tak.

Rotas poczuł na sobie uważny wzrok rozmówcy.

– Domyślam się, że wyskok Hornika wyprowadził pana z równowagi.

Przepraszam za jego zachowanie.

– Niepotrzebnie. To raczej ja powinienem panu podziękować. Odsiecz przyszła w samą porę. – Julian wyjrzał przez uchylone drzwi na ulicę. Ulewa nie ustępowała.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Henryk Stockenhausen – przedstawił się. – Chyba i ja już pójdę. Nie znoszę papierosowego dymu. Spacer dobrze mi zrobi.

– Spacer? Leje jak z cebra.

– Przystaje padać. Proszę zobaczyć.

Julian wysunął ostrożnie głowę. Światła Zachęty odbijały się w nieruchomych kałużach. Deszcz skończył się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Daleko pan mieszka? – Stockenhausen pierwszy wyszedł przed gmach. Nabrał powietrza w płuca.

– Jakies dwadzieścia minut spacerkiem – odparł Julian. Zastanawiał się, czy nie powinien jednak zadzwonić po taksówkę.

– Przejdę się z panem kawałek, jeśli pan pozwoli – zaproponował Stockenhausen, tym samym rozstrzygając dylemat Rotasa.

Skierowali się w stronę ulicy Traugutta. Nad chodnikami unosiła się lekka mgielka parującej wody. Powietrze po deszczu było rześkie, stanowiło miłą odmianę po przebywaniu w zadymionych pomieszczeniach. Przez chwilę szli obaj w milczeniu. Stockenhausen odezwał się pierwszy:

– Prawdę powiedziawszy, celowo pana zagadnąłem. Po tej całej awanturze z katalogiem nie czuję się w porządku. W końcu to przeze mnie się panu oberwało.

– W niczym pan nie zawinił.

– Dziękuję za wyrozumiałość. A skoro mowa o katalogu, to naprawdę dobrze się pan spisał.

– Zwykła redakcja tekstu.

– Czytałem tekst Hornika. Wygładził pan chropawość stylu, ujednolicił stylistycznie i wyłapał merytoryczne lapsusy. Dobra robota.

– Robię to na co dzień.

– Wiem, jest pan dziennikarzem. Ale nie o tym chciałem rozmawiać.

Pisze pan?

Julian poczuł dobrze znany niepokój. Zaraz się zacznie: „Drogi panie, nie można się zrażać, trzeba mimo wszystko próbować, prawdziwy talent zawsze się obroni”. Stara śpiewka.

– Trochę. Nic wielkiego – odpowiedział ostrożnie.

– Rozumiem. Trudno się przebić. Wbrew temu, co się potocznie sądzi, sam talent nie wystarcza.

Julian spojrzał zaskoczony na rozmówcę. Stockenhausen chyba opacznie zrozumiał jego zdziwienie, bo pospieszył dodać:

– Nie uwierz pan, jak dużo zależy od przypadku. Choć przypadek to, oczywiście, bardzo pojemne określenie. Dziś należałoby raczej powiedzieć „promocja”. Bez reklamy daleko się nie zajdzie.

Byli już przy Krakowskim Przedmieściu. Skręcili w prawo i minawszy kościół Świętego Krzyża, przeszli po pasach na drugą stronę ulicy. Ruszyli Obozną w dół.

– Opublikował pan coś? – zapytał nieoczekiwanie Stockenhausen.

– Kilka opowiadań – odpowiedział Julian, zanim zdążył pomyśleć.

– Gdzie?

Julian zastanawiał się gorączkowo nad odpowiedzią. O mało wszystkiego nie zepsuł! Starnicki słusznie miałby do niego żal.

– Takie tam studenckie pisemka – odparł wykrętnie.

– Przymierza się pan do napisania czegoś większego?

Julian zawahał się. Rozmowa ze Stockenhausenem zaczynała go irytować.

– Skończyłem niedawno powieść – rzekł ostrożnie – ale jak na razie nie mogę znaleźć wydawcy.

– Jak ja to dobrze znam! Wydawcy wolą pewniaków: Wilniaka, Toporniuka, Starnickiego. Tylko że ci rzadko piszą. Jak już mają coś nowego, to wydawca bierze w ciemno. Liczy się nazwisko. A za uznanym nazwiskiem idą pieniądze. O czym jest pańska powieść?

Na wzmiankę o Starnickim w głowie Juliana znowu zapaliło się ostrzegawcze światełko. Zeszli po schodkach prowadzących do parku przy Browarnej i pociągnęli obrzeżem pustego o tej porze parku, kierując się do ulicy Topiel.

– Trudno tak w kilku zdaniach – zaczął z namysłem. – Tłem jest Anglia elżbietańska, cała rzecz obraca się wokół głównego bohatera. To Christopher Marlowe. Ale nie jest to powieść historyczna. Postać Marlowe'a stanowi punkt wyjścia do zarysowania duchowego konfliktu.

– Marlowe? – spytał Stockenhausen z zainteresowaniem. – Marlowe prekursorem Szekspira, przerwane życie i nie spełniony talent, faustowskie dylematy autora *Tragicznych dziejów doktora Fausta*? O tym pan pisze?

– Skąd pan wie? – wyjąkał Julian.

– Ja tak bym właśnie do tego tematu podszedł. W swoim czasie sporo nad tym rozmyślałem.

Zatrzymali się przy jezdni. Na prawo zaczynała się ulica Topiel, na lewo ciągnęła się Browarna. Stockenhausen wyjął wizytówkę.

– Proszę mi przysłać rękopis. Chętnie przeczytam. – Ucisnął Julianowi rękę na pożegnanie, wymienili się wizytówkami. – Ogromnie się cieszę, że pana poznałem. Tu się rozstaniemy. Pan skręca w prawo, a ja musiałbym za bardzo nadrabiać drogi. Złapię taksówkę.

Zdażył to powiedzieć, kiedy tuż przy nich zatrzymał się czarny mercedes ze znakiem taxi. Stockenhausen wsiadł i przez otwartą szybę zawołał:

– Do rychłego zobaczenia.

Samochód zawrócił i pomknął w stronę Mariensztatu. Chowając wizytówkę Stockenhausena do bocznej kieszeni marynarki, Julian uzmysłowił sobie, że gdy zegnał się z Heleną Saafjan, nie wręczył jej wizytówki. Wzięła go złość na własne gapiostwo. W podłym nastroju podążył w prawo, Topielą. Przeciął Tamkę i szedł dalej Kruczkowskiego, kiedy przypomniały mu się słowa wypowiedziane przez Stockenhausena przy pożegnaniu. Z wrażenia aż się zatrzymał. Jakim cudem Stockenhausen wiedział, w którą stronę Julian zamierza skręcić?

Zaraz jednak i to pytanie zeszło na plan dalszy, przesłonięte przez powracający obraz dziewczyny. Myślał o niej przez resztę drogi. Minał tyły szpitala, biurowiec Nordic Park i skręcił w lewo w aleję 3 Maja. Był już przy kamienicy, kiedy na skrawku nieba między domami a wiaduktem błysnęła spadająca gwiazda. Zaczął się szybko zastanawiać. Miał dwa życzenia, tylko które wybrać? Namyslał się zbyt długo, bo po gwieździe pozostało ledwie wspomnienie. Może mu się jedynie przywidziała?

### Rozdział 3

#### **Ważą się losy literackich wawrzynów oraz czyjeś życie**

Nazajutrz o dziesiątej rano Julian Rotas wysłał na adres podany na wizytówce maszynopis swojej książki. W tym samym czasie w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na Foksal rozpoczynała obrady kapituła Nagrody Literackiej im. Sztiglera.

– Szanowni koledzy – odezwał się na powitanie profesor Brzóska, przewodniczący pięcioosobowej kapituły. – To znaczy, rzecz oczywista, chciałem powiedzieć: Szanowna koleżanko i szanowni koledzy – poprawił się, przypomniawszy sobie o obecności Janiny Samosiejskiej.

Docent Samosiejska, socjolog kultury, podgarnęła opadającą na oczy rudą grzywkę i uśmiechnęła się z wyrozumiałością. Profesor Brzóska słynął z błyskotliwych analiz literackich, jednak w prostych sytuacjach życiowych odznaczał się nieporadnością. Typowa starokawalerska przypadłość, skomentowała w myślach, przyglądając się wyświechtanej marynarce profesora i koszuli z podwiniętym kołnierzykiem. Pięćdziesięcioletni literaturoznawca znał najgłębsze tajniki duszy bohaterek Jane Austen, potrafił wieść długie rozmowy z Antygoną, Joanną d'Arc i szekspirowską Desdemoną, nigdy jednak nie widziano, by rozmawiał sam na sam z kobietą.

– Co z Gibałą? Bez niego nie zaczniemy – odezwał się niskim głosem Andrzej Konar, laureat Nagrody im. Sztiglera sprzed dwóch lat.

Konar miał czterdzieści pięć lat, był wysokim szatynem o miłej powierzchowności i paskudnym charakterze. To ostatnie nie odstraszało kobiet, które się za nim uganiały.

Brzóska zdjął okulary w grubej rogowej oprawce, przetaił szkła zmiętą chusteczką i założył okulary z powrotem.

– No tak, nie ma go. To znaczy, rzecz oczywista, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Musimy poczekać.

– Można by zadzwonić na jego komórkę – podpowiedział ze znudzoną miną Maurycy Gorczyca, najmłodszy członek kapituły. Mimo że od trzech lat niczego nie napisał, prestiżowa nagroda Kropielnickich, którą otrzymał w wieku trzydziestu lat, oraz poparcie Andrzeja Konara zapewniły mu w tym roku miejsce w jury decydującym o najważniejszej krajowej nagrodzie literackiej.

Profesor Brzóska zagłębił się w rozłożonych na stole notatkach, tak jakby ostatnia uwaga nie do niego się odnosiła. Gorczyca wyjął paczkę Marlboro i spojrzał znacząco na zegarek. Docent Samosiejska chrząknęła z dezaprobatą. Gorczyca ostentacyjnie zapalił papierosa. Samosiejska wstała energicznie i otworzyła okno. Do środka wpadło majowe powietrze.

W tym momencie ktoś głośno zapukał i nie czekając na odpowiedź, złapał klamkę.

– Pewnie Gibała – mruknął Gorczyca, nie ruszając się z miejsca.

Docent ominęła go szerokim łukiem, podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Wpadł zziębnięty Gibała.

– Przepraszam za spóźnienie – wysapał, sadowiac się przy stole. – Miałem kolegium redakcyjne.

Z teczki wyjął kołonotatnik. Na pierwszych dwóch kartkach zdążył naszkicować pochwalną recenzję z wystawy Hornika, zatytułowaną *Świat w Zachęcie*. Przewrócił zapisane kartki i popatrzył wyczekująco po obecnych.

– Musimy dziś, rzecz oczywista, spróbować wyłonić laureata – rozpoczął Brzóska, marszcząc nerwowo brwi. Obszedł stół i wręczył każdemu kartkę z pięcioma nazwiskami: „Wilniak, Toporniuk, Starnicki, Bereżańska, Kostaryn”. – Proszę zakreślić jedno nazwisko. Zobaczymy, jak rozkładają się głosy.

Odfajkował nazwisko na swojej kartce i poczekał, aż docent Samosiejska zbierze pozostałe głosy.

– No tak – zamruczał, przeglądając wyniki. – Mamy, rzecz oczywista, sytuację patową. Starnicki: dwa głosy, Wilniak: dwa głosy, Kostaryn – jeden.



– Kostaryn? – Gibała aż podniósł się na krześle. – Kto głosował na Kostaryna? Przecież to beztalencie. Jego dojście do finału to zupełny przypadek. Z dwojga złego wolałbym Bereżańską.

Gorczyca zdusił niedopałek papierosa w pustej szklance po wodzie mineralnej.

– Bereżańska to rzemiosło! – wykrzyknął. – A u Kostaryna jest wszystko: sztuka i życie. Prawdziwa literatura.

– Raczej literacki bełkot – prychnął Gibała.

– Panowie – odezwał się mitygująco Konar. – Nie zebraliśmy się tu, żeby dyskutować o literackich gustach.

– Słusznie, rzecz oczywista – podchwycił Brzóska. – Fakty są następujące: Wilniak i Starnicki dostali po dwa głosy. Tak więc, rzecz oczywista, zagłosujemy jeszcze raz. Pani docent, mogę panią prosić o przygotowanie nowego zestawu kartek?

– Może głosujemy przez podniesienie rąk – zaproponowała Samosiejska. – W regulaminie nie ma wymogu tajnego głosowania.

– Jeśli nikt nie zgłasza sprzeciwu. – Profesor rozejrzał się po obecnych. Nikt się nie odezwał. – W takim razie głosujemy.

Docent Samosiejska zaczęła odczytywać nazwiska kandydatów. Toporniuk i Bereżańska nie otrzymali żadnego głosu. Brzóska i Samosiejska oddali głosy na Wilniaka, Konar z Gibałą zagłosowali na Starnickiego. Gorczyca kręcił głową z niezadowoloną miną, dając do zrozumienia, że żadna z kandydatur nie jest po jego myśli.

– Maurycy – Konar pochylił się w jego stronę – musisz zdecydować, kto jest ci bliższy.

Gorczyca pojął aluzję w słowach protektora. Nie patrząc na przewodniczącego kapituły, powiedział wyraźnie:

– Starnicki.

Konar klasnął w dłonie.

– Mamy więc trzy do dwóch dla Starnickiego. Pani Janino, proszę o oficjalne wpisanie wyników głosowania do protokołu.

– Chwileczkę, panie kolego – przerwał mu Brzóska. Przyglądził niezgrabnym ruchem resztki czesanych do tyłu włosów. – Proszę nie zapominać, że przewodniczącemu kapituły przysługują dwa głosy. Jest więc, rzecz oczywista, trzy do trzech.

– Świński remis – skwitował Gorczyca. Po minie sądząc, nie wydawał się przejęty wynikiem.

– Rozważmy to spokojnie jeszcze raz – zaproponował cierpliwie Konar. Uśmiechnął się ciepło do Janiny Samosiejskiej i podjął słodkim głosem: – Pani docent, doskonale wiemy, że ma pani do twórczości Wilniaka bardzo osobisty stosunek. Nie zamierzam pani przekonywać, że na nagrodę bardziej zasługuje Starnicki. Proszę tylko wziąć pod uwagę, że Wilniak dostał Sztiglera dwa lata temu, a Starnicki nie był nigdy nawet nominowany. W końcu to nasz noblista.

Docent Samosiejska zacisnęła wargi.

– Regulamin nie zabrania wielokrotnego uczestnictwa – odparła lodowato. Zbyła milczeniem aluzję Konara do krótkotrwałego epizodu z końca lat osiemdziesiątych, kiedy pracowała u Wilniaka w charakterze osobistej sekretarki. – A skoro mowa o regulaminie, to właśnie względy regulaminowe nie pozwalają mi oddać głos na Starnickiego.

– Ta sama stara śpiewka! – jęknął Konar.

Gibała poparł go wymownym wzruszeniem ramion i powiedział półgłosem:

– Bzdury.

– Wypraszam sobie! – obruszył się Brzóska. – Regulamin to podstawa. Nie wolno nam od niego odstępować.

– Ależ wcale tego nie negujemy – pospieszył zapewnić Konar. – Uważamy tylko, że akurat ten punkt regulaminu można inaczej interpretować. Skoro książka Starnickiego została wydana w ubiegłym roku, to spełnia podstawowy wymóg. Przecież gdyby było inaczej, w ogóle nie brano by jej pod uwagę przy nominacjach.

Brzóska poruszał wargami w zdenerwowaniu.

– Tomik Starnickiego, rzecz oczywista, wydano w ubiegłym roku, ale na osiem opowiadań tylko cztery są nowe – mówił kartkując regulamin. – O, tu napisano wyraźnie: „Do nagrody mogą być zgłaszane utwory, które ukazały się po raz pierwszy w formie książkowej w roku kalendarzowym poprzedzającym kolejną edycję nagrody”. W moim przekonaniu książka Starnickiego nie spełnia tego warunku.

– Cztery opowiadania są zupełnie nowe – upierał się Konar. – Te zresztą powszechnie uważa się za najlepsze.

– Ale pozostałe cztery pochodzą sprzed dziesięciu, piętnastu lat – odparował Brzóska.

– Świński remis – powtórzył Gorczyca ze znużoną miną.

– Panie kolego! – zachnął się profesor.

Gibała podniósł rękę.

– Głosujmy jeszcze raz – zaproponował. Spojrzał wymownie na docent Samosiejską. – Może niektórzy zmienią zdanie.

Ponowne głosowanie nie przyniosło rozstrzygnięcia.

– Klasyczny impas – jęknął Gibała. – Jakież propozycje?

Brzóska poprawił okulary i pochylony nad kartkami regulaminu przeczytał po cichu stosowny fragment.

– Mogę zwrócić się do rady kapituły o poszerzenie składu kapituły o jedną osobę – oznajmił. – Ten dodatkowy głos powinien zadecydować.

– Ja jestem za – podchwycił Konar. – A kto miałby zgłaszać kandydata?

– Przewodniczący kapituły – zakomunikowała triumfalnie docent Samosiejska. Profesor potwierdził skinieniem głowy.

\*\*\*

Po wyjściu z siedziby Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich redaktor Gibała przeszedł ulicą Foksal do Chmielnej. Upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, wyjął komórkę i wybrał numer. Kiedy rozpoznał głos Stockenhausena, powiedział bez żadnych wstępów.

– Nie mam dobrych wieści.

– Wilniak przeszedł? Niemożliwe!

– Profesor i Samosiejka obstają przy jego kandydaturze. Na razie jest remis. Profesor zaproponował dokooptowanie jeszcze jednej osoby, żeby przełamać impas. Ale zgodnie z regulaminem o wyborze dodatkowego członka decyduje przewodniczący. Całkiem możliwe, że spotkamy się w nowym składzie już za trzy dni. Co mam robić?

– Samosiejkiej nie da się przekonać?

– Zagłosuje tak jak Brzóska.

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

– Proszę nic nie robić. Sam się tym zajmę – oznajmił Stockenhausen.

Zaraz potem się rozłączył.

## Rozdział 4

### *Hamlet, Lord Jim i kanarek*

Profesor Henryk Brzóska zdążył wejść do windy kamienicy na Jaracza, kiedy trzasnęły drzwi klatki i ktoś szybko wbiegł po schodach. Profesor próbował zamknąć windę, ale już w polu widzenia ukazała się torba z zakupami i młody kobiecy głos zawołał:

– Dzień dobry, panie profesorze. Jak to miło, że pan poczekał.

W odpowiedzi bąknął „Dzień dobry” i wcisnął się w kąt kabiny. Starał się nie patrzeć na dziewczynę, żeby nie stwarzać pretekstu do rozmowy. Nie pamiętał nawet, jak dziewczyna się nazywa ani na którym piętrze mieszka. Odetchnął z ulgą, kiedy na trzecim wysiadła. Dojechał na piąte piętro, szybko przekręcił klucz w zamku i już od progu zawołał:

– Jestem, Zuziu! Już do ciebie idę!

Powiesił marynarkę na wieszaku w szafie, ustawił równo buty na półce w przedpokoju i w papuciach przeszedł do salonu.

– Zuzia tęskniła? A była grzeczna? Chyba nie bardzo. Kto tak porozsypywał ziarno? Grzeczny kanarek tak nie robi.

Wsadził palec między pręty klatki. Zuzia tylko na to czekała: sfrunęła z żerdki i przysiadła na nim. Czuł jej drobne, chłodne łapki. Przekrzywiając łebek, przyglądała mu się bacznie. Skubnęła go kilka razy w palec, jak zawsze przy powitaniu.

Kiedy podsypywał jej ziarna, wdzięczyła się do niego, trzepocąc skrzydełkami. Podgrzał zupę pomidorową, którą gosposia zostawiła na kuchence. Zupę zjadł przy kuchennym stole, skąd miał widok na klatkę z kanarkiem. Potem przeszedł do gabinetu i z przepastnej skórzanej teczki, mocno sfatygowanej przez dwadzieścia lat używania, wydobyl przyniesione z uczelni książki. Ułożył je starannie na biurku. Wziął do ręki pierwszą z góry – niewielki tomik zatytułowany *Fikcja heurystyczna w przekazie Conrada* – i wyjął z niego kopertę pełniącą funkcję zakładki. Z koperty wyciągnął złożoną

w czworo kartkę papieru. Rozłożył ją, poprawił okulary i po raz trzeci tego dnia zaczął czytać długi list skreślony drobnym kobiecym pismem:

Wielce Szanowny Panie Profesorze

Jestem niezmiernie wdzięczna, że był Pan łaskaw odpowiedzieć na mój pierwszy list. Pochlebia mi, że zechciał Pan poświęcić cenny czas bibliotekarce z prowincjonalnego miasteczka. Od lat śledzę Pańskie literaturoznawcze publikacje, ale to tylko po części usprawiedliwia moją śmiałość. Tym bardziej cieszę się, że nie wziął mi jej pan za złe.

Pragnę serdecznie podziękować za złożenie wpisu w książce i odesłanie mi jej w tak krótkim czasie. Pański autograf będzie dla mnie równie cenną pamiątką jak sama książka.

Jak poprzednio zaznaczyłam, udało mi się zgromadzić wszystkie Pańskie publikacje, włącznie z niedawno wydaną *Fikcją heurystyczną w przekazie Conrada*. Jestem świeżo po lekturze i wciąż nie mogę ochłonąć z wrażenia. Nikt jeszcze nie przedstawił w sposób równie spójny całości archetypowych przekazów w Conradowskiej prozie. Uważam zarazem, że profesor Hercern nie ma absolutnie racji, gdy poddaje krytyce stosowanie przez Pana tego samego paradygmatu badawczego w stosunku tak do Szekspira, jak i Conrada. Ja poszłabym zresztą jeszcze dalej i umieściła znak równości między postawami Hamleta i Lorda Jima w aspekcie samopermisywizmu moralnego, który u jednostek tak dojrzałych prowadzić musi z czasem do krytycznej samooceny i następstw typu wina-kara. Byłabym ogromnie ciekawa zdania Pana Profesora na ten temat.

Panie Profesorze, w najbliższą sobotę przyjeżdżam do stolicy na coroczny kurs dokształcający dla bibliotekarzy. Będę bawić w Warszawie od soboty do poniedziałku. Byłabym ogromnie rada, gdybym przy tej okazji mogła osobiście przekazać Panu wyrazy podziękowania.

Z poważaniem

Zofia Sarecka

Brzóska położył list na biurku. Zdjął okulary, pochuchał na szkła i starannie przetaił je chusteczką.

– Hamlet i Lord Jim – powtórzył głośno. – Rzecz oczywista, jednostki o rozwiniętym poczuciu prawideł moralnych surowiej oceniają własne naganne postępowanie. Skoro od innych wymagają spełniania wysokich norm, wobec siebie stosować muszą równie ostre kryteria. Paradygmat wina–kara prowadzi w konsekwencji do wymierzenia sobie kary własnymi rękami, dosłownie bądź w sensie przenośnym. – Założył okulary i przyglądał się listowi, powtarzając po cichu ostatnie zdania. Pokiwał głową. – Trafne ujęcie, rzecz oczywista, bardzo ciekawe rozumowanie. Hm, Hercern miałby się z pyszna! Boi się paralelnych dywagacji jak diabeł święconej wody. – Zachichotał. Zanotował uwagę o Hercernie w grubym notesie, na osobnej stronie napisał zaś skrótowo: „wina–kara – Hamlet–Lord Jim”. – Trzeba odpowiedzieć, rzecz oczywista. Tylko co?

Decyzję podjął w miarę szybko. Autorka listu była postacią na tyle abstrakcyjną, że nie dostrzegął w niej kobiety – przynajmniej nie do takiego stopnia, by świadomość tego działała na niego paraliżująco. Ponadto bibliotekarka listu budziła w nim ciekawość naukowca: była jak nowa, obiecująca książka, której nigdy nie pozna, jeżeli nie zdecyduje się jej przeczytać. Otworzył wieczne pióro, wziął czystą kartkę papieru maszynowego i postawiwszy datę, zaczął pisać:

Szanowna Pani

Dziękuję za miły list. Pani uwagi o paralelnych związkach między postaciami Hamleta i Lorda Jima wydały mi się nader ciekawe. Pomysł wart rozwinięcia.

W miarę możliwości chętnie się z Panią spotkam podczas Jej pobytu w Warszawie. Podaję numer domowy i telefon na uczelnię.

Załączam wyrazy szacunku  
Henryk Brzóska

Przeczytał tekst ponownie, złożył kartkę i wsadził do koperty.  
Zaadresował: „WP Zofia Sarecka, Biblioteka Miejska, Górowo Iławeckie...”  
Upewnił się, że nie pomylił się przy nazwie ulicy i numerze posesji, po czym schował list do przegródki w teczce i zdjął okulary. Wróciwszy do salonu, sprawdził, czy okna są zamknięte, i dopiero wtedy otworzył klatkę. Zuzia namyślała się chwilę. Sfrunęła z żerdki na dno klatki, potem wróciła na żerdkę, by, jak to miała w zwyczaju, wskoczyć na pręty otwartych drzwiczek. Stamtąd wzbila się lekko, okrążyła żyrandol, zatoczyła dwa duże koła po salonie i usiadła na ramie portretu rodziców profesora. Brzóska posprzątał starannie klatkę. Kiedy zmieniał wodę w pojemniku i dosypywał ziarna, Zuzia przystąpiła do wieczornej toalety.



## Rozdział 5

### Może jednak miłość

Ścienny zegar w pokoju redakcyjnym działu miejskiego „Racji” wskazywał trzecią po południu. Julian przejrzał i poprawił notatkę o trudnościach w komunikacji miejskiej spowodowanych zamknięciem wiaduktu w Alejach Jerozolimskich. Następnie kolejny raz obdzwonił szpitale i miejskie służby interwencyjne. Niewiele się dziś wydarzyło: dwie niegroźne stłuczki w centrum, zderzenie tramwaju z autobusem bez ofiar w ludziach, ofiara ulicznej bójki przewieziona do szpitala na Banacha z raną kłutą brzucha. Zastanawiał się, czy tej ostatniej wiadomości nie sprawdzić; może jest coś, co warto będzie pociągnąć? Sięgnął już po słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon.

– Dział miejski.

– Dzień dobry, panie Julianie. A ja w interesie.

Rozpoznał specyficzny, rozwlekły sposób mówienia, jakby rozmówca bawił się słowami, akcentując poszczególne sylaby według sobie tylko znanych zasad. Młodszy aspirant Biebrzo. Hasło „w interesie” oznaczało, że aspirant ma do przekazania informację.

Julian chwycił długopis.

– Masz coś? – spytał, siląc się na obojętny ton.

– Może. Za dwieście.

– Zobaczymy. Słucham.

– Topielec w Wiśle.

– Kto taki?

– Nie wiem. Jeszcze pływa. Przyjedź zaraz, to będziesz pierwszy. Więc jak?

– Biorę to.

– Stoimy na wysokości mostu Śląsko–Dąbrowskiego. Poznasz po radiowozie. Tylko się pospiesz.

– Piętnaście, góra dwadzieścia minut.

Chwycił dyktafon i wybiegł z pokoju.

– Krysiu – zawołał do stażystki, która pełniła funkcję sekretarki – wróć po siedemnastej. Przekręć do szefa i powiedz, że chyba będę miał coś do jutrzejszego wydania.

Dojechał na miejsce około szesnastej. Zaparkował na chodniku na wysokości mostu. Nad wodą zebrał się spory tłumek gapiów. Julian zbiegł schodami na rozkopaną wiślaną skarpe. Biebrzo poznał go z daleka i kazał przepuścić.

– Jeszcze pływa – oznajmił, kiedy zmierzali szybkim krokiem nad brzeg.

Dwóch policjantów w motorówce próbowało wtaszczyć zwłoki do środka. W końcu zrezygnowali i zaczęli holować ciało do brzegu. Trzeci, stojąc na ostatnim stopniu schodów, przyciągnął je bosakiem. Nachylił się, chwycił za ubranie na plecach denata i szarpnął. Miał gumowe rękawiczki i mokry materiał wyslizgiwał mu się z rąk. W tym momencie fala od motorówki dotarła do brzegu, zakręciła ciałem. Policjant stracił równowagę.

– Kurwa, leczę! – wrzasnął.

Julian stał najbliżej. Dосkoczył i złapał go za pasek u spodni. Dołączył do nich Biebrzo, w trójkę wtaszczyli zwłoki na betonowy stopień. Julian odszedł na bok i starannie wytarł dłonie o spodnie.

– Babka – zakomunikował Biebrzo.

– Młoda? – spytał drugi policjant.

– A niby jak teraz poznasz? – Po chwili jednak dorzucił. – Cholera, chyba nie więcej jak dwudziestka. Po co jej to było.

– Pewnie ruska.

– Co ty tam wiesz.

– Już nie raz tak było. Przyjedzie taka, puści się, a potem widzi, że żarty się skończyły.

– Nie, to nasza. Ma medalik z Matką Boską.

– Aha... Pewnie zaszła.

– Przecież od razu nie skaczą.

- Jak trafi na dziewczynę ze wsi, to czasem tak się kończy.
- Albo głupia się zakochała.
- Albo i tak. Może to jednak z miłości...

\*\*\*

Kiedy po siedemnastej wrócił do redakcji, miał już szkic notatki. Nie było tego dużo: wiek denatki około dwudziestu lat, brak dokumentów, wstępne oględziny wykluczają udział osób trzecich. Niewiele da się z tego wycisnąć. Wraz z policyjnym pośmiertnym zdjęciem artykuł pójdzie jutro w dziale „Ktokolwiek widział”.

W drodze do pokoju wszedł do toalety i wyszorował ręce. Sekretariat był pusty. Na swoim biurku zobaczył kartkę od sekretarki: „Dzwoniła p. Helena Saafjan, prosi o telefon”.

Krew uderzyła mu do głowy. Wyjął z portfela wizytówkę i porównał numer telefonu z numerem na kartce. Zadzwoiła z pracy. Pewnie w służbowej sprawie. Lepiej sobie za wiele nie obiecywać.

Wybrał numer i ze słuchawką przyciśniętą do ucha czekał. Od razu rozpoznał jej głos.

- Galeria Zachęta, słucham.
- Julian Rotas. Dzień dobry. Podobno chciała pani ze mną rozmawiać.
- O, dobrze, że pan dzwoni. – Wyraźnie się ucieszyła. – Nie

wiedziałam, jak pana znaleźć. W końcu przypomniałam sobie, że wystarczy przecież zadzwonić do redakcji.

- W całym tym zamieszaniu nie dałam pani wizytówki. Moja wina.
- Miał pan prawo być zdenerwowany. – Zrobiła krótką przerwę. –

Właściwie w tej sprawie dzwonię.

- To znaczy?
- Czujemy się wobec pana nie w porządku. Dostał pan niezasłużone cięgi. Czy w ramach przeprosin da się pan zaprosić na obiad?

Więc jednak służbowa sprawa. Niepotrzebnie się łudził.

– Nie jesteście mi państwo nic winni. Naprawdę. Otrzymałem należność, wszystko jest w porządku.

– Przepraszam, źle się wyraziłam. Mówiłam wyłącznie w swoim imieniu. Więc jak, zgadza się pan?

– Skoro uważa pani, że to dobry pomysł...

– Jutro o trzynastej?

– Wyrwę się z redakcji na dwie godziny.

– Co pan powie na kawiarnię Czytelnika? Wie pan, gdzie to jest?

Aż się uśmiechnął. Jego prywatna mapa Warszawy składała się głównie z adresów wydawnictw.

– Na Wiejskiej przy siedzibie Czytelnika. To na rzut kamieniem od redakcji.

Coś musiało jej przeszkodzić, bo szybko zakończyła rozmowę, potwierdzając wcześniej godzinę i miejsce. Zabrał się do redagowania artykułu o samobójczyni. Szło mu niesporo, bo myślami był już gdzie indziej. Przeczytał całość, poprawił wyłapane błędy i dał tekst do korekty.

Siedziba dziennika „Racja” znajdowała się przy rondzie de Gaulle’a, w dawnym lokum PAP-u. Po wyjściu z budynku poszedł w stronę Smyka i zrobił cotygodniowe zakupy w Remie. Obładowany torbami dojechał tramwajem do mostu Poniatowskiego, skąd do domu miał już tylko dwieście metrów. Majowy wczesny wieczór zachęcał do spaceru. Minał pijaczków sączących tanie wino pod sklepem na Solcu, przeszedł na drugą stronę ulicy i wzdłuż wiaduktu dotarł do kamienicy. Nie oglądał się za siebie, nie mógł więc zauważyć czarnego psa, który błąkał się w okolicach wiaduktu. Zwierzę było rosłe, masywnie zbudowane, przypominało skrzyżowanie doga z mastiffem, a przy tym całe czarne, bez jednej jasnej plamki czy siwego włosa. Kiedy Julian zniknął w bramie domu, pies postać jeszcze chwilę, po czym potruchnął w stronę dworca Powiśle, bezpiecznie przebiegł ruchliwą jezdnię i rozpląnął się w parku, między drzewami.

\*\*\*

Noc źle przespał. Dręczyły go jakieś koszmary, choć po przebudzeniu niczego nie pamiętał. Wziął zimny prysznic, ale dopiero mocna kawa postawiła go na nogi. Z myślą o dzisiejszym spotkaniu włożył szarą polówkę i dzinsy.

Zanim wyszedł, cicho uchylił drzwi pokoiku babci i zajrzał do środka. Nie spała już. Odmawiała różaniec, poruszając bezgłośnie wargami. Na jego widok przerwała.

– Wychodzę do pracy. Podać ci coś? – zapytał.

– Opiekunka powinna być o dziewiątej. Idź, idź, poczekam na nią.

Uchylił okno, żeby wpuścić świeże powietrza.

– Zostawię otwarte. Nie powinno dziś padać.

Przytaknęła, na powrót zajęta paciorkami różańca. Odwracał się już, kiedy niespodziewanie powiedziała:

– Zadzwoń do księdza. Do Janiaka. Poproś, żeby przyszedł.

– Przecież to nie pierwszy piątek.

– Chcę księdza – powtórzyła stanowczo. – Zadzwonisz?

– Zadzwonię.

Czas w redakcji dłużył mu się niepomiarowo. Od dziesiątej co kilka minut spoglądał na zegarek. Tuż po dwunastej zadzwonił młodszy aspirant Biebrzo. Artykuł najwyraźniej odegrał swą rolę: na policję zgłosiła się kobieta, która na zdjęciu rozpoznała denatkę.

– Młoda była, dopiero dziewiętnaście lat – referował Biebrzo. –

Przyjechała do pracy gdzieś spod Łowicza. Zamieszkała u koleżanki. To właśnie ta, co zadzwoniła. W sumie banalna historia. Zakochała się, po czterech miesiącach chłopak ją rzucił, bo okazało się, że jest w ciąży. Usunąć nie chciała, bo grzech, a chodzić z panińskim brzuchem się wstydziła. No i skoczyła. Wie pan, co w tym wszystkim najdziwniejsze?

– No? – spytał przynaglająco. Było piętnaście po dwunastej.

– Od tygodnia rozpowiadała, że ze sobą skończy, ale nikt jej nie wierzył. Głupia szczeniara! – Biebrzo głośno wytarł nos. – A o tych dwóch słowach zapomnijmy.

– To i tak biurowe.

– Jakoś nie mam do nich serca...

Julian szybko skończył rozmowę. Powiedział sekretarce, że będzie dostępny pod komórką, i wybiegł z redakcji. Doszedł Nowym Światem do

placu Trzech Krzyży, minął Sheraton i kwadrans przed umówioną godziną znalazł się w kawiarni Czytelnika. Zajął stolik w rogu pod oknem i czekał. Na sali poza nim były tylko trzy osoby. Przy pierwszym stoliku od okna siedział łyśawy sześćdziesięciolatek w towarzystwie atrakcyjnej blondynki, która wyglądała na trzydzieści lat; powiesił marynarkę na oparciu krzesła, poluzował krawat i przeglądając plik kartek, dyktował coś kobiecie. Dwa stoliki od nich siedział przystojny szatyn po czterdziestce. Udawał zajętego czytaniem gazety, ale co chwila zerkał na blondynkę. Jego twarz wydawała się Julianowi znajoma. Próżno jednak starał się przypomnieć sobie, gdzie mógł go spotkać.

Helena przysła tuż przed pierwszą. Miała na sobie kremową bluzkę zapinaną na guziczki i beżową spódniczkę za kolana, na nogach lekkie sandałki o cienkich paseczkach. Julian poderwał się z krzesła niczym uczeń. Szatyn też ją zobaczył. Ukłonił się szarmancko i zrobił krok w jej stronę z głośnym „Dzień dobry, pani Heleno”. Odpowiedziała mu ruchem głowy i bez słowa przeszła obok.

– Niewiele brakowało, a bym się spóźniła.

Julian niezgrabnie ujął jej rękę.

– Dopiero pierwsza.

Usiedli, przyglądając się sobie ukradkiem. Szatyn też zajął swoje miejsce. Nie spuszczał wzroku z Heleny.

– Andrzej Konar, pewnie pan o nim słyszał – wyjaśniła, dostrzegłszy pytanie w oczach Juliana. – Pisarz, guru krytyki, dyktator literackich gustów. Miałam okazję go poznać. Nieciekawy typ.

Powiedziała to w taki sposób, że Rotas od razu poczuł do Konara niechęć.

– Dwa lata temu dostał Sztiglera za *Ptaki w słońcu* – przypomniał bez entuzjazmu. – Miał głośny debiut. Nawet Wilniak wypowiadał się wtedy z uznaniem o jego *Śmieciarni świata*. Dla mnie to sztampa.

Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

– Chyba sporo pan czyta?

– Pewne rzeczy dla przyjemności, inne z obowiązku. Przeważnie to drugie.

– Myśli pan o zostaniu krytykiem literackim?

Zaśmiał się tak głośno, że nawet Konar spojrzał w jego stronę.

– Ani mi to w głowie. Za bardzo lubię czytać, żeby mi przykładać rękę do niszczenia pisarzy.

Helena uśmiechnęła się. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo w tym momencie do kawiarni wszedł Gibała. Poznał Helenę i uklonił się z daleka. Obecność Juliana skwitował zdziwioną miną. Dosiadł się do Konara i zaczęli ściszym głosem rozmowę, zerkając od czasu do czasu w stronę stolika Juliana i Heleny. Naraz Konar parsknął śmiechem. Gibała perorował dalej, patrząc już bez żenady na Juliana.

Julian poczerwieniał ze zdenerwowania. Nigdy przedtem nie czuł takiego przyływu agresji. Najchętniej wstałby od stolika i trzepnął któregoś porządnie. Aż sam się zdziwił, że taka myśl mogła mu przyjść do głowy. Helena dotknęła jego ręki uspokajającym gestem.

– Proszę się nimi nie przejmować. Gibała teraz przynajmniej pana poznaje. Wcześniej nawet nie wiedział, że pracujecie w tym samym dzienniku.

– Gibała powiedziałby raczej, że on pracuje w p r a w d z i w e j gazecie, a ja tylko w dodatku miejskim.

Na moment odwróciła głowę w stronę rozbawionych mężczyzn. Konar jakby tylko na to czekał: uniósł się z krzesła i posłał jej promienny uśmiech.

– Może pójdziemy gdzie indziej? – zaproponowała.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Ominąwszy szerokim łukiem stolik Gibały i Konara, wyszli przed kawiarnię.

– Pomysł z Czytelnikiem okazał się nie najlepszy. Dokąd teraz? – Przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się przeprasząco. W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

Ta krótka chwila sprawiła, że powróciło głęboko skrywane wspomnienie. Poczł się młodszy o piętnaście lat: pierwsza randka, to samo majowe słońce, figlarne spojrzenie dziewczyny, psotnie odchylna głowa. Całe

zdeenerwowanie minęło jak ręką odjął. Przy Helenie nie czuł onieśmienia nie opuszczającego go w obecności kobiet, na których mu zależało.

– Dokąd? Przed siebie!

Ruszyli wolnym krokiem w stronę placu Trzech Krzyży. Kiedy mijali kościół, doszli zgodnie do wniosku, że pora mówić sobie po imieniu.

– Wyglądasz bardzo majowo – orzekł.

Pewnie trąciło to kiepską poezją, ale takie właśnie skojarzenie przyszło mu do głowy. Stali właśnie przed przejściem dla pieszych na wysokości empiku.

– Czy to komplement?

– Jak najbardziej. Maj to mój ulubiony miesiąc.

Zapaliło się zielone światło. Przebiegli jezdnię i zapuścili się w wąwóz sklepowych wystaw na Nowym Świecie. Działo się z nim coś dziwnego. On, który uchodził za mruka, przy Helenie miał ochotę mówić nieprzerwanie. Nie był to tylko monolog, co to, to nie. Helena była wdzięcznym słuchaczem, ale z rodzaju tych, którzy mają zwyczaj komentować i zadawać pytania. Zanim się spostrzegł, zaczął się jej zwierzać. Widocznie bardzo tego potrzebował. Opowiedział o skrzypiących drewnianych schodach w rodzinnym domu, w którym po śmierci rodziców mieszkał już tylko z dziadkami. O tym, jak skradał się po tych schodach, by zaszyć się na strychu z nowo zdobytą książką z biblioteki dziadka: Barrie, Dickens, Hawthorne, Poe, starobaśniowy Kraszewski, Dumas, Scott i Cooper, wreszcie Dostojewski, który zwał się na jego chłopięcą głowę z siłą meteoru tunguskiego. Wspomnienia, do których sam chętnie wracał. Ale były też inne wspomnienia z dzieciństwa, takie, które skrzętnie skrywał przed innymi. Helena była pierwszą osobą, której opowiedział historię z psem. Babka kazała mu się pozbyć tego psiaka; w mroźny grudniowy wieczór musiał wywieźć go na drugi koniec miasta i tam porzucić. Pamiętał spojrzenie kundla, kiedy zostawiał go przywiązanego do drzewa. Tego samego wieczoru babka jak co dzień przyjęła w kościele ciało Chrystusa. Jemu też kazała iść do komunii. Był nieczysty, bo czuł do niej nienawiść, więc komunია była świętokradcza. Przyjmując hostię, popełnił



śmiertelny grzech. A babka zawsze powtarzała, że każdy grzech to zatruty gwóźdź wbity w ciało Zbawiciela. Czyli świadomie zranił Chrystusa. Nigdy się z tego nie wyświadał. Pewnie gdyby umiał wybaczyć babce, w końcu zdobyłby się na szczerą spowiedź i oczyścić z grzechu. Z czasem przestało mu na tym zależeć. A może – i w tym miejscu zawahał się, a Helena wcale go nie ponagliła – może tak naprawdę miał wtedy żal do Boga, bo winił Go za śmierć rodziców? Zemścił się więc tak, jak potrafił: wystawiając cierpliwość Boga na próbę?

– I co?

– Nic. To tylko w Biblii Jahwe zsyła karę na grzeszników. Myślałem więc sobie, że skoro tak, to albo Boga nie ma, albo przestał się mną interesować. A ty jak myślisz?

– Bo ja wiem? Wolalabym, żeby jednak coś tam było.

Po incydencie w Czytelniku nie mieli ochoty iść do restauracji. Na Starym Mieście kupili bułki z pieczarkami i usiedli na murze Barbakanu. Splotła nogi, dla wygody podciągnęła spódniczkę i oparta jedną ręką o ceglany mur, wystawiła twarz do słońca. Zwrócona profilem do Juliana gryzła bez pośpiechu bułkę.

– Nigdy jeszcze nikomu o sobie w ten sposób nie opowiadałem.

Dokończyła bułkę, zgmiotła brudną serwetkę i nie wstając, cisnęła ją do pobliskiego kosza.

– Pewnie teraz chciałbyś dowiedzieć się czegoś o mnie.

Zamierzał być pisarzem, pisarze zaś uwielbiają snuć domysły. Układają dziesiątki wariantów tej samej sytuacji w poszukiwaniu rozwiązania, które im samym wydaje się najbardziej wiarygodne, choć niekoniecznie musi odpowiadać prawdzie.

Zatem w zgodzie z pisarskim sumieniem zamierzał skłamać, że nie interesuje go nic, co wiąże się z jej przeszłością.

Helena wzięła milczenie za objaw rozterki, bo odezwała się pierwsza:

– Bez obawy, nie chowam trupów w szafie. Możesz pytać, o co chcesz.

– Dlaczego chciałaś się ze mną umówić?

– No tak. Może akurat o to jedno nie powinieneś pytać. – Zeskoczyła z murku. – Ciekawość. Odrobina przekory. Pewnie też kobieca próżność. A może coś więcej... Chodźmy już.

I tak właśnie miało być tego dnia do końca. Ilekroć dotykał tematu, który najwyraźniej pragnęła przemilczeć, uciekała w śmiech albo zbywała go gładkimi kłamstwami.

Pogoda sprzyjała gładkim kłamstwom i długim spacerom. Zapuścili się w uliczki Nowego Miasta. Przy kościele Nawiedzenia NMP zeszli schodami po skarpie, pokonali ruchliwą Wisłostradę i dotarli nad rzekę. Było bezwietrznie, kajaki ślizgały się po gładkiej tafli Wisły. Na wysokości Mostu Świętokrzyskiego skręcili w Tamkę i poszli w górę, do Krakowskiego Przedmieścia.

Pożegnali się na przystanku przy uniwersytecie. Helena wsiadła do zatłoczonego autobusu i zniknęła mu z oczu. Dochodziło wpół do ósmej. O tej porze nie miał po co wracać do redakcji. Cofnął się do Oboźnej i najkrótszą drogą dotarł do domu.

Drzwi do pokoju babci Janiny były otwarte na oścież.

– Nie mówiłeś, że wrócisz później – powitała go z pretensją w głosie.

– Musiałem wziąć dyżur za kolegę – skłamał. Szybko wycofał się do kuchni.

– Dzwoniłeś do księdza Janiaka?

Zaklął pod nosem. Że też musiał o tym zapomnieć!

– Przepraszam – zawołał z kuchni. – Zupełnie wyleciało mi z głowy. Jutro zadzwonię.

– Nie musisz. Krysia już to zrobiła – odrzekła z wyraźną satysfakcją.

Zajrzał do pokoiku staruszki. Leżała w łóżku, przebrana do snu.

– Kiedy ksiądz ma przyjść? – spytał, udając zainteresowanie.

– W piątek, koło południa. Krysia obiecała, że będzie wcześniej i wszystko przygotuje.

Postał jeszcze chwilę, by wysłuchać stałego koncertu narzekań przeplatane go pobożnymi westchnieniami. Po kilku minutach uspokoiła się, przymknęła oczy. Zgasił światło, wyszedł i cicho zamknął drzwi.

Dopiero teraz zauważył, że na automatycznej sekretarce miga czerwone światełko. Włączył odtwarzanie.

– Mówi Stockenhausen – usłyszał znajomy głos. – Dzwoniłem kilka razy do redakcji, ale nie zastałem pana. Przeczytałem książkę. Chciałbym się spotkać i porozmawiać. Najlepiej jutro. Proszę zadzwonić do mnie z samego rana.

## Rozdział 6

### Diabły przychodzą po Alleyna

Ed Alleyn stał przy otwartym oknie, jakby tam wypatrywał ratunku. Wysoki na ponad sześć stóp, miał na sobie czarne rajtuzy i czarny kubrak, zwieńczony białą niegdyś, teraz zaś mocno zszarzałą już i poplamioną kryzą, na głowę wcisnął kapelusz o szerokim rondzie. Gdzieś w dali rozbrzmiewał chór jękliwych głosów. Stopniowo się przybliżały. Alleyn odwrócił się z ociąganiem i ciężko westchnął. Nie żałował sobie dzisiaj pudru: twarz miał tak przejmująco bladą, że starsza jejmość stojąca tuż pod sceną zaszlochała rozpaczliwie. Wyprostował zgarbione plecy. Dramatycznym gestem złożył ręce na piersiach i spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem, gdzieś ponad głowami widzów. Nagle zegar zaczął wybijać godziny. Alleyn drgnął. Poruszając bezgłośnie ustami, liczył uderzenia. Po jedenastym zegar umilkł. Alleyn wzniosł oczy ku górze i wyciągnawszy przed siebie ręce, z palcami rozczapierzonymi jakby do obrony przed niewidzialnym wrogiem, zawołał przejmująco:

Ledwo jedna godzina życia ci pozostała,  
potem czeka cię wieczne potępienie!  
O, wstrzymajcie bieg, sfery niebieskie.  
Niech czas się zatrzyma i północ nigdy nie nadejdzie.  
Jasne oko Natury, wszedź i zaprowadź  
wieczny dzień; albo niechże ta godzina  
w rok się zamieni, w miesiąc, tydzień, choćby dzień jeden,  
by Faust mógł odpokutować i duszę swą ocalić!  
*O lente, lente currite, noctis equi!*  
Gwiazdy nadal świecą, czas biegnie, zegar wnet wybije godzinę,  
diabeł przybędzie i Faust będzie potępiony.

W tym miejscu, jak zawsze, Alleyn przerwał i zwiesił głowę, by lepiej unaocznic cierpienie Fausta. Zerknął spod szerokiego ronda na widownię licznie przybyłą tego dnia do Róży: wszyscy czekali w napięciu, co stanie się dalej. Kątem oka dostrzegł, że Kit Marlowe, ukryty za bocznym filarem, szykuje diabły do wypuszczenia na scenę. Jeszcze kilka minut i na dzisiaj koniec. Na myśl o pasztecie z dziczyzny i butelce czerwonego bergeraca Alleyn poczuł ssanie w żołądku. Czas umierać, Fauście. Oberżysta w Jednorożcu pewnie szykuje już stoły do wieczery.

Alleyn ściągnął kapelusz i rzucił na deski. Załamując ręce, z oczami wzniesionymi ku powale, wyrecytował tubalnym głosem, by słyszeli go widzowie na najwyższym piętrze galerii:

O, wzbiję się ku Bogu. Lecz któż mnie ściąga ku ziemi?

Tam, tam, na firmamencie krew Chrystusa płynie.

Jedna jej kropla...

Przerwał mu donośny krzyk na widowni. Przez tłum pod sceną przedzierał się postawny młodzian w brązowym kubraku nie pierwszej już świeżości. Jedną ręką torował sobie drogę, drugą przyciskał coś do piersi. Próbował go gonić korpulentny jegomość wbity w czerwono–żółty dublet i w czarnym aksamitnym berecie; dobył rapiera i wymachując nim ponad głowami widzów, wrzeszczał jak opętany:

– Łapać psubrata! Drań porwał mi sakiewkę! Trzymać rzezimieszka!

Nikt się nie kwapił, by uciekającego osiłka pochwycić. Ludzie rozstępowali się natomiast przed tańczącym ostrzem rozsierdzonego tłusciocha i odległość między rabusiem a jego ofiarą szybko się zmniejszała. Pojawszy, że nie przebije się przez ciżbę, złodziej ruszył ku scenie. Chwycił się drewnianego obramowania, podciągnął i wgramolił na deski. Spod kubraka wysunęły mu się trzy okazałe sakiewki i upadły na posypaną świeżym piaskiem ziemię. Ci, którzy stali najbliżej, rzucili się, by je podnieść. Z tyłu napierali inni. Grubas, dźgając rapierem, usiłował dopchać się do swojej własności, dołączyli do niego

pozostali nieszczęśnicy, którzy dopiero teraz spostrzegli utratę sakiewek.  
Powstał straszny tumult.

Alleyn na scenie daremnie próbował recytować monolog. Krzyczał już prawie, lecz jego głos ginął w hałasie. Kiedy zatem na deskach sceny pokazał się sprawca całego zamieszania, Alleyn dopadł go w dwóch susach i z całej siły rąbnął w szczękę. Drab, machając rękami, poleciał do tyłu i zwałił się ze sceny na piasek, co widzowie powitali salwami śmiechu. Śmiali się jeszcze głośniej, kiedy pełzając na czworakach, usiłować wydostać się z tłumu.

Alleyn, czerwony na twarzy i na dobre już rozsierdzony, wychrypiał z zaciekłością nie przystającą do wypowiedzanej kwestii:

Boże, mój Boże, nie spoglądaj tak groźnie!

Żmije i węże, dajcież choć tchu zaczerpnąć!

Zniknij, ohydne piekło! I ty, Lucyferze!

Spalę swoje księgi! Odejdź, Mefistofelesie!

Ale diabły, wiedzione przez Mefistofelesa, obstały już Fausta, chwyciły go za poły kaftana i czyniąc piekielny tumult, ciągnęły za kulisę. Ich pojawienie się nie zrobiło tego dnia wielkiego wrażenia na widzach, zajętych zgoła innym widowiskiem. Kiedy Faust przy akompaniamencie lamentującego chóru uprowadzany był do piekła, z widowni raz po raz rozlegały się śmiechy i przekleństwa, przeplatane odgłosami kuksańców.

Marlowe powitał aktorów z cierpką miną. Zanim zdążył się odezwać, Ed Alleyn niespodziewanie rzucił się na Roba Grattona, który wcielił się w postać Mefistofelesa.

– Co, pokurczu jeden, mnie kopniakami raczysz?! – ryknął. Jedną ręką przyciągnął Grattona do siebie, drugą zerwał mu rogi umocowane na głowie i cisnął je na ziemię.

– Przecie udawałem tylko – wystękał Gratton, daremnie próbując wyswobodzić się z uchwytu. – Nie chciałeś zejść ze sceny...

– Daj mu spokój – odezwał się mitygująco Philip Henslowe, właściciel Róży. – Tak się miotaleś, jakby ci kto gorącego sadła nalał za kołnierz. Nie trzymałeś się roli.

– A niby jak miałem grać w tym rozgardiaszu? – burknął Alleyn.

Posłuchał jednak Henslowe'a, z którego pasierbicą za trzy miesiące miał się żenić. Gratton oddalił się bez ociągania, mieląc w zębach przekleństwa i unosząc ze sobą nadwerężone rogi.

– Wystarczy, by kilka sakiewek zmieniło właściciela, a tragedia zmienia się w komedię – zauważył sentencjonalnie Marlowe, kiedy w trójkę skierowali się ku garderobie. Był już tam John Heminge, który w sztuce Marlowe'a grał Lucyfera, oraz młodziutki Tom Percy, wcielający się całkiem udanie w postać kusząco powabnej Heleny.

Henslowe poklepał Marlowe'a po ramieniu.

– Sam kiedyś orzekłeś, drogi Kicie, że to życie pisze za nas sztuki. Dziś miałeś tego dowód.

– Ale słów raz spisanych na papierze aktor winien się trzymać – odparował Marlowe twardo, kierując te słowa do Alleyna. I zaraz dodał oskarżycielsko: – A nasz Faust skakał po tekście jak wygłodzona pchła pod ubraniem. Ot, choćby na samym początku. Zamiast „Musimy więc grzeszyć” wymyśliłeś sobie: „Spieszmy więc grzeszyć”.

Z kąta garderoby dobiegł ich śmiech. Percy–Helena zdjął już ciemnoblonde perukę fryzowaną w loki i przeciągnął się lubieżnie.

– Głodnemu chleb na myśli – zanucił. – Ed nie może się doczekać, kiedy wcieli się w rolę młodego żonkosia.

Heminge–Lucyfer, który zdążył się uwolnić od długiego czarnego płaszcza i spiczastego kapelusza, dorzucił od siebie z przekąsem:

– Nareszcie będzie mógł za darmo korzystać z uciech, które teraz słono go kosztują.

Była to aluzja do Philipa Henslowe'a, który poza teatrem i arenami, gdzie pokazywano dzikie zwierzęta, był również właścicielem kilku dobrze prosperujących domów uciech na Bankside.

Henslowe, choć sam dość popędliwy, nie zamierzał dolewać tego dnia oliwy do ognia. Uznawszy przezornie, że ostatnia uwaga nie jego dotyczy, dobył z szerokiego rękawa pękaty mieszek i potrząsnął nim z zadowoloną miną.

– Była mowa o sakiewkach, więc powiem jeszcze, że nasza całkiem sporo przybrała na wadze. Zarobiliśmy dzisiaj blisko piętnaście gwinei.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – skomentował Kit.

– Dobry tytuł na komedię – rzucił Heminge od niechcienia, kierując się ku wyjściu.

– Nie wybierasz się z nami do Jednorożca? – zdziwił się Henslowe. Poruszył kusząco sakiewką.

– Może mam ochotę na pieczyście z jedną z twoich gąsek? W takich razach zwykłem się obywać bez dodatkowego towarzystwa.

\*\*\*

Poszli do gospody Pod Jednorożcem w czwórkę: Henslowe, Marlowe, Alleyn i Percy. Ledwie zdążyli usiąść i zamówić pieczony drób i cielęcinę zapiekaną w cieście, od stołu w ciemnym kącie sali podniósł się łysawy mężczyzna. Już z daleka uśmiechał się przymilnie. Henslowe na jego widok sapnął i przewrócił oczami. Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, ale mężczyzna przyspieszył kroku i już stał przy nich. Ukłoniwszy się kanciasto, przemówił uniżenie do Kita:

– Miałem wychodzić, a tu raptem kogo widzę? Autor we własnej osobie! Wspaniała sztuka. Niepowtarzalna. Piękna, wstrząsająca i tragiczna. Widziałem *Fausta* czterokrotnie, a przecież za każdym razem jest to dla mnie nowe przeżycie!

– Zwłaszcza dzisiejsze przedstawienie – wtrącił z chichotem młody Percy.

Tamten omiół go ledwie spojrzeniem. Ukłoniwszy się poniewczasie Henslowe'owi i Alleynowi, zwrócił się proszącym tonem do Kita:



– Poprawiłem *Henryka*, panie, tak jak radziłeś. Wiem, że to zbyt wielka śmiałość z mojej strony, ale czy nie zechciałbyś raz jeszcze rzucić okiem na tekst?

Marlowe nawet się nie skrzywił. Machnął przyzwalająco ręką i powiedział niecierpliwie, bo córka oberżysty szła już w ich stronę z parującą miską:

– Dobrze, przynieś. Najlepiej zostaw w teatrze.

Gość spojrzał znacząco na wolne miejsce przy stole, nikt jednak nie kwapił się, by go zaprosić. Kiedy zjawiała się gospodyni z dzbanem wina i czterema kubkami, pokręcił się jeszcze chwilę i z ociąganiem odszedł.

– Kto to? – zapytał Percy. Nie czekając na odpowiedź sięgnął po dzban, by rozlać wino do kubków.

– Willie Shagspeare – wybelkotał Kit z ustami pełnymi jedzenia. Przełknął kawałek cielęciny zapiekanej w cieście i popił bergerakiem. – Różnie piszą jego nazwisko: Skackspere, Shagspere, Shakespeare, Shagspeare.

– Kiepski pisarz i jeszcze gorszy aktor – skomentował Henslowe z niechęcią. – Męczył mnie, męczył, aż obsadziłem go kiedyś w *Tragedii hiszpańskiej*. Do dziś tego żałuję.

– Potwierdzam, bo sam grałem w *Tragedii* – mruknął Alleyn. – Shakespeare co najwyżej nadaje się do biegania po scenie i potrząsania włócznią. Nazwisko ma odpowiednie.

– Ale z pisaniem radzi sobie niezgorzej – zauważył Kit. – Szybko się uczy. Umysł ma jak gąbka. Łaził za mną ostatnio, bo zaczął komponować sztukę o Henryku VI i potrzebował, jak to określił, fachowej pomocy. Posiedziałem z nim parę wieczorów nad tekstem. Co nieco wygładziłem kanciasty styl, podsunąłem kilka rozwiązań.

– Śmierdzi wsią – prychnął Percy, przysłaniając nos chusteczką, jakby nadal był na scenie i grał Helenę Trojańską.

– Nic dziwnego – włączył się Henslowe. – A ty to niby co? Sam jeszcze niedawno ciągnąłeś krowy za cycki. Dzisiaj co trzeci londyńczyk ma wiejski rodowód.

– W tym połowa z nich to gąski z twoich burdeli – odparował młodzik.  
– Zdrowe, czerstwe i nawykłe do ciężkiej pracy.

Ale Henslowe'a, który czuł miły ciężar sakiewki, trudno było tego dnia wyprowadzić z równowagi.

– I owszem, nie narzekam. A jakie bestyjki zdolne. – Nadział na nóż spory kawałek cielęciny i włożył do ust. – Myślę, żeby pewnego dnia wprowadzić którąś na scenę. Tylko że wtedy nasz piękny Percy będzie mógł co najwyżej grać włócznika, jak ten niewydarzony Shagspeare.

Percy z nadętą miną zabrał się do obgryzania kurzego udka. Marlowe roześmiał się. Nie odrywał oczu od Marthy, córki oberżysty. Odstawił kubek i przywołał ją, by nalała wina. Kiedy się nad nim pochylała, wyprostował się na ławie i niby przypadkiem dotknął policzkiem na wpół odsłoniętych piersi dziewczyny. Odskokczyła z krzykiem, ale odchodząc, nie przestawała się do niego uśmiechać.

Kit Marlowe upił wina i otarł usta rękawem kaftana.

– Z Shagspeare'em rzecz tak się ma, że nie otrzymał solidnego wykształcenia. W wiejskiej szkole liznął trochę łaciny i greki, ale nawet z prostym tekstem sobie nie radzi. Szykuje się teraz do pisania jakiejś nowej sztuki. Czegoes o Tytusie Andronikusie. Wciąż mnie nachodzi, żebym mu objaśniał fragmenty z *Żywotów* Plutarcha. Trzeba przyznać, że i tak daleko zaszedł, bo w domu ojciec i matka oboje niepiśmienni.

Ed Alleyn czknął głośno.

– Wiem od kuzyna w Warwickshire – zaczął – że ci Shagspeare'owie to nieciekawe towarzystwo. Jeden z przodków skończył na szubienicy za kradzież. A i sam Willie, który z powodu biedy w rodzinie przerwał szkołę w wieku trzynastu lat i zaczął uczyć się rzeźnickiego fachu, uciekł ponoć ze Stratfordu do Londynu, żeby uniknąć kary za kradzież jelenia z lasów sir Thomasa Lucy'ego.

Marlowe pokręcił głową.

– Że uczył się na rzeźnika, to prawda, ale z tym jeleniem to zwykły wymysł. W istocie uciekł od gderliwej żony i rodzinnych obowiązków, którym nie potrafił sprostać.

– Jeszcze jeden powód, żeby się nie żenić – zawyrokował Percy. – Mów dalej, Kicie. Może nasz drogi Alleyn jeszcze zmieni zdanie.

– Nie sądzę – odrzekł Kit ze śmiechem. – Ed jest dojrzałym mężczyzną i bierze za żonę urodziwą młodkę, a z Shagspeare'em było całkiem na odwrót. Wpadł w małżeńskie sidła, jeszcze zanim osiągnął pełnoletność, a do tego dziewczka była osiem lat starsza. Ledwo z nią legł, zaszła w ciążę i biedak musiał się żenić. Wypijmy za jego parszywy los. – Wzniósł kubek i pociągnął spory łyk wina.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwił się Percy.

– Skąd? – Kit zaśmiał się głośno. – Ludzie dużo mówią, a ja uważnie słucham. Dla poety to nieocenione źródło wiedzy.

– O tak, pan Marlowe zgromadził sporą wiedzę – dobiegł ich szorstki głos. – Zapewniam panów, że ma do tego wyjątkowy talent.

Kit przesunął się na ławie i spojrzał za siebie. Przy sąsiednim stole, zupełnie pustym, jeśli nie liczyć kieliszka i dzbana z sherry, siedział Richard Baines. Kit widział go pierwszy raz od czasu wydarzeń we Flushing. Baines niewiele się zmienił: ta sama chuda twarz, chytre spojrzenie, zmarszczki na wysokim czole, lekko opadająca lewa powieka, najbardziej widoczna pamiątka po pobycie w więzieniu we Flushing. Wyłysiał tylko i we włosach na skroniach pojawiła mu się siwizna.

– Pan Marlowe zna wiele sekretów – wychrypiał Baines. Drżącą ręką uniósł kieliszek i wychylił. Mrużąc oczy, popatrzył na Kita i dokończył bełkotliwie: – Ale i sam skrywa parę tajemnic. Popytajcie go, przyjacielom może coś zdradzi.

– Znasz go, Kicie? – zapytał Alleyn, bardziej zaintrygowany niż rozgniewany.

– Moczygęba jakiś. Ubzdurał coś sobie i tyle. Każę gospodarzowi go wyrzucić.

– Sam to zrobię – huknął Alleyn i podniósł się od stołu.

Na ten widok Baines poderwał się z ławy. Nad podziw żwawo okrążył swój stół i zataczając się nieco, dobiegł do drzwi.

– Pięknie to zagrałeś! – zaśmiał się Henslowe, kiedy Baines wypadł na ulicę.– Ledwo cię zobaczył, od razu wytrzeźwiał.

Zamówili nowy dzban czerwonego wina. Przy czwartym kubku Henslowe'owi język się rozwiązał. Zaczął opowiadać takie sprośności o swoich dziełkach z domów uciech, że córka oberżysty schowała się w spizarni. Kit poczuł parcie na pęcherz. Wstał od stołu.

– Idę za potrzebą – mruknął niewyraźnie i skierował się ku drzwiom.

Zmrok już zapadł. Powietrze było rześkie, przesycone zapachami wiosny. Potykając się w ciemności, obszedł gospodę, stanął w miejscu, gdzie do budynku przylegała dREWUTNIA i zaczął obsikiwać równym strumieniem ścianę z belek. Przez okopcone szyby sąsiedniego okna przebijało światło świec. Strząsnął resztki moczu na ziemię i ruszył z powrotem tą samą trasą. Nie zdążył wyjść zza załomu budynku, kiedy ktoś zagroził mu drogę.

– Królu mój łaskawy – odezwał się intruz pijackim belkotem – podaruj kilka pensów na kwaterekę piwa.

Kit zdjął rękę z gałki sztyletu i obciągnął kaftan. Zrobił krok w prawo, by ominąć obdartusa. W tym momencie dwie pary rąk chwyciły go od tyłu. Zanim się spostrzegł, stał przyparty do ściany. Szarpnął się, tamci jednak trzymali mocno. Nie zdziwiło go nawet, kiedy zobaczył, że zza budynku wyłania się Baines. Powinien spodziewać się takiego obrotu rzeczy.

– Ciepły wieczór, jak wtedy, we Flushing – wychrypiął Baines ściszonegłosem.

Z kieszeni kaftana wyjął kilka monet i rzucił je za siebie. Żebrak na czworakach zaczął zbierać drobniaki.

– Przynajmniej te są prawdziwe – dokończył Baines ze złowieszczą nutą.

Nie spiesząc się, dobył nóż ukryty pod kaftanem. Kit chciał krzyknąć, ale jeden z osiłków zatkał mu usta skórzaną rękawicą. Baines przełożył nóż do lewej ręki i przeciągnął ostrzem po wnętrzu prawej dłoni, aż pokazała się krew.

– Sam powtarzałeś, że dobry pieniądz z czasem zawsze wyprze fałszywy – podjął dziwnie spokojnym tonem. – Podobnie rzecz się ma z ludźmi.

Zamachnął się ręką uzbrojoną w nóż. Kit zacisnął powieki i skulił się. Cios nie nastąpił. Kiedy odważył się otworzyć oczy, zobaczył, jak Baines pochyla się nad żebrakiem i wbija mu nóż w plecy. Uderzał fachowo, między łopatki.

Zaraz potem silny cios w głowę pozbawił Kita przytomności.

\*\*\*

Ocknął się w zatęchłej ciemnicy, na wiązce zbutwiałej słomy. Ledwo się poruszył, rozległy się gniewne pofukiwania i piski. Coś przebiegło mu po piersiach. Usiadł raptownie, strącając na ziemię pozostałe szczury. Kaftan miał w strzępach, ale do ciała jeszcze się nie dobrały. Pomacał rękami wokół siebie. Pomieszczenie było tak niskie, że mógł się poruszać tylko na czworakach. Przyłgnął plecami do wilgotnej ściany, podciągnął kolana pod brodę i siedział tak, pilnując, by szczury nie podchodziły zbyt blisko. Kiedy zamajaczyło światło pochodni, odskoczyły z piskiem pod przeciwległą ścianę. Pochodnia zbliżała się. Szczęknęła krata zamykająca wejście do nory. Uniosła się z chrobotem.

– Wyłaź! – burknął strażnik.

Kit przeczołgał się pod kratą. Pilnowany przez mrukliwego strażnika przemierzył długi korytarz, pokonał kilkadziesiąt śliskich stopni i znalazł się w niewielkiej czworobocznej sali. Przez dwie wąskie szczeliny sączyło się światło. Na prostej ławie z oparciem siedział Robert Poley. Był jak zawsze elegancki: w ciemnych, jednobarwnych rajtuzach, czerwonym aksamitnym dublecie z czarnymi wypustkami, z miękką, starannie ufryzowaną brodą i ciemnobrązowymi włosami, które na modłę holenderską miał ułożone w loki. Agent w Tajnej Służbie Jej Królewskiej Mości, jeden z najwierniejszych psów

gończych królowej, niezmordowany w tropieniu katolickich spisków. Zarazem wypróbowany pomocnik sir Francisa Walsinghama oraz lorda Burghleya w fabrykowaniu spisków na zgubę wrogów królowej i ku chwale kościoła Anglii. Poley i Baines, dwie karty z jednego rozdania. Mocne atuty w ręku osoby, która nimi dysponowała. Grając przeciwko takim kartom, miało się mizerne szanse na sukces.

– Wpakowałeś się w niezłą kabałę, Kicie – zaczął Poley, oglądając swoje wypielęgnowane paznokcie.

– Ty i Baines mielibyście więcej do powiedzenia na ten temat – odparował Marlowe.

Poley zaśmiał się. Odprawił strażnika, po czym z zaciekawieniem rozejrzał się po prawie pustej sali. Sam jako agent prowokator spędził wiele dni w więziennych lochach, z miłości do królewskiego majestatu wyrzekając się bez żalu eleganckiego odzienia i pachnideł, by podstępem wydobyć ze współwięźniów dowody winy.

– Brawo, Kit. – Roześmiał się ponownie i klasnął w dłonie. – Widzę, że jedna noc w Newgate nie pozbawiła cię dobrego humoru.

– Nie mam nic na sumieniu.

– Dowody mówią co innego.

– Dowody?

– Zeznanie Richarda Bainesa poparte urzędowym sprawozdaniem konstabla Sutcliffe'a, który w chwilę po morderstwie zjawił się na miejscu zbrodni.

– Baines łże.

– Czyżby? Ma dwóch świadków gotowych potwierdzić jego słowa. Widzieli, jak w pijanym szale rzuciłeś się na Boga ducha winnego włóczęgę. Kiedy Baines próbował ci przeszkodzić, dźgnąłeś go w dłoń sztyletem. Na dowód tego ma wyraźny ślad. Dopiero w trójkę dali ci radę. Musieli ogłuszyć cię kamieniem.

– Baines kłamie. Wszystko zostało ukartowane.

– Śmierć zadano twoim sztyletem.

– To Baines zaszlachtował włóczęgę.

– Komu uwierzy sąd? Duchownemu kościoła anglikańskiego czy członkowi teatralnej trupy?

– Baines ma powód, żeby się mścić. Ubzdurał sobie, że to ja go wydałem w sprawie fałszywych szylingów w Niderlandach.

– A było inaczej? Obaj fałszowaliście monety, a do więzienia we Flushing trafił tylko on. Ty wróciłeś bezpiecznie do Anglii, Baines o mało nie stracił głowy.

– Dobrze wiesz, że wstawił się za mną lord Burghley.

– Teraz się nie wstawi. Chyba że okażesz swą przydatność.

– W jaki sposób?

Poley stanął przy szczelinie okiennej tak wąskiej, że nie sposób było przecisnąć głowy.

– Wrócisz do Służby – zażądał.

Kit oparł się ręką o ławę. Sceny z egzekucji wryły mu się w pamięć równie trwale jak każde słowo jego dramatów. Cóż w tym dziwnego, skoro w obu przypadkach mógł się śmiało poczuwać do autorstwa. Wnętrznosci wypływające z brzucha żywego jeszcze Babingtona i głowa królowej Szkotów, która dopiero po trzecim cięciu spadła na deski. Kiepski finał i uboga fabuła. Żaden szanujący się dramaturg tak by tego nie zostawił.

– Wystąpiłem ze Służby – odparł.

Poley odwrócił się twarzą do niego.

– Ze Służby nie można zrezygnować. Co najwyżej Służba może zrezygnować z ciebie. Zbyt długo byłeś z nami, by tego nie wiedzieć. Musisz wybierać: więzienie i pewna szubienica albo powrót do Służby.

– Baines sam by tego nie wymyślił. Kto za tym stoi? Lord Burghley? Whitgift?

– Wszyscy służymy Jej Królewskiej Mości i Anglii.

– Co miałbym robić?

Poley zasiadł z powrotem na ławie i założył nogę na nogę.

– Pojedziesz do Szkocji. Ten purytański mąciciel John Penry jest gorszy od katolików. Swoimi pismami wbija klina w nasz Kościół. Atakuje biskupów, podważa autorytet królowej.

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Zaprzyjaźnisz się z nim. Zna cię tylko jako autora *Fausta* i *Tamerlana*. Łatwo go przekonasz, że myślisz podobnie jak on. Wmówisz mu, że jest was więcej, plany są już gotowe, potrzeba tylko pewnych ludzi, którzy mogą zamiar zrealizować. Masz go ściągnąć do Anglii.

– Co go tu czeka?

– Szubienica, mój drogi Kicie. – Poley wstał żwawo z ławy i spoglądając na poszarpany kaftan Marlowe’a, poprawił haftowane mankiety koszuli. – Każdy ma taki koniec, na jaki zasłużył.



## Rozdział 7

### **Koło fortuny rozpędza się**

Agencja Stockenhausena miała siedzibę w jednopiętrowym pałacyku na obrzeżach parku przy Foksal. Po uprzedniej rozmowie telefonicznej z sekretarką Stockenhausena Julian Rotas zjawił się punktualnie o dziesiątej. Biura mieściły się w lewym skrzydle odrestaurowanego budynku. Przed wejściem wisiała tablica z matowego szkła, z napisem: „Agencja reklamy i promocji TeNeT”.

Sekretariat wraz z przylegającym do niego rozległym holem miał nowoczesny biurowy wystrój. Za to pokój właściciela firmy przypominał gabinet osobliwości. Stockenhausen na widok Juliana poderwał się zza solidnego biurka z orzechowego drewna. Posadził gościa przy mahoniowym stoliku zdobionym intarsją, która przedstawiała japoński krajobraz. Sam usiadł na sąsiednim fotelu. Julian, wbrew swoim zwyczajom, nie przestawał się rozglądać. Najpierw jego uwagę przykuła dwuskrzydłowa biblioteczka w stylu eklektycznym. Wykonana z drewna koloru ciemnej wiśni i zdobiona na krawędziach złoceniami, wysoka niemal pod sufit, ciągnęła się od drzwi pokoju przez całą długość ściany i wzdłuż ściany sąsiedniej, solidna jak mur obronny średniowiecznej warowni. Za szybami stały książki o zdobnych grzbietach, choć obok bibliofilskich wydań były też egzemplarze mocno podniszczone, niektóre bez grzbietów, a kilka w tak kiepskim stanie, że jedynie opasające je wstążki ratowały kartki przed rozpierzchnięciem. Ze swego miejsca Julian odczytać mógł tylko niektóre tytuły. Wypatrzył łacińskie wydanie historii Kościoła angielskiego świętego Bedy, kazania Johanna Eckharta w języku niemieckim, rozważania świętego Jana od Krzyża, niewątpliwie zabytkowe wydanie Biblii króla Jakuba, rozważania świętego Augustyna, *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona, oprawne w czarną skórę prace Blaise'a Pascala, coś o Trójcy Świętej autorstwa Johna Owena, zaraz obok łacińskie wydanie pracy Corneliusa Agrippy o okultyzmie, dalej dzieła

Hugo, Prousta i Dostojewskiego, wielotomową edycję filozofów angielskich, a tuż przy niej opasłe tomy z pracami Platona i Sokratesa w językach niemieckim, francuskim i angielskim. Były też tytuły w językach zupełnie Julianowi nie znanych, przywodzące na myśl inskrypcje, jakie pamiętał z malowideł koptyjskich czy może aramejskich. Książki dominowały w pokoju, ale nie one jedne stanowiły o jego specyficznym charakterze. Wolne miejsce na ścianach zajmowały obrazy, sztychy i rysunki. Żadnej z prac nigdy przedtem nie widział, a jednak wszystkie wydawały mu się znajome. Rozpoznawał metafizyczną prostotę Chagalla, ludyczno-rozpasany styl Bruegla, Dürerowsko surowy monumentalizm postaci i manieryczność Rubensa; najwidoczniej jakiś utalentowany kopista zdołał po mistrzowsku oddać to, co w dziełach każdego z tych artystów najbardziej charakterystyczne. Zwracało też uwagę, że wszystkie kopie, choć różne pod względem stylu i maniery, łączył ten sam temat. Z braku lepszego słowa Julian określił go w myślach przymiotnikiem „metafizyczny”. Anioły z ptasimi skrzydłami przelatywały nad dachami domów; połamany artretyzmem diabeł grzał się przy inkwizycyjnym stosie; smok Lewiatan niósł na grzbiecie baranka; wreszcie Śmierć z liczydłem, przedstawiona na podobieństwo Salomona, czuwała przy łożu konającego, gotowa asystować w sporze Lucyfera z Michałem Archaniołem o ulatującą z ciała duszę.

Julian wypatrzył jeszcze połyskliwą czaszkę pod szklaną kopułą na biurku i wypchanego czarnego psa o groźnym wyglądzie, warującego przy posągu z brązu, na którym wryto napis „Cornelius Agrippa”. W rzeźbionym stojaku w rogu pokoju stała muzealna włócznia, nad biurkiem wisiała imponująca kolekcja ogromnych śnieżnobiałych motyli, a na prawo od drzwi leżała bryła surowego marmuru, ledwie napoczęta przez rzeźbiarza, mająca zapewne przedstawiać klęczącą postać. Na małym stoliku, obok egipskiego sarkofagu naturalnej wielkości, stała szklana gablota, a w niej trzciniowy kosz o rzadkim splocie.

Julian zdał sobie sprawę, że gospodarz od dłuższego czasu mu się przygląda. Poczul się w obowiązku coś powiedzieć, jednak Stockenhausen go uprzedził.

– Trochę się tego zebrało – zaczął z niekłamanym zadowoleniem, obiegając wzrokiem pokój. – Sporo podróżuję po świecie. Moją wadą jest to, że łatwo przywiązuję się do rzeczy.

– Wszyscy jesteśmy zakładnikami materialnego świata – wyrwało się Julianowi.

Stockenhausen podniósł brwi, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– To prawda – przyznał – chociaż w moim przypadku jest nieco inaczej. Te wszystkie rzeczy mają dla mnie wartość osobistych pamiątek. Trochę przeszkadzają, ale nie chciałbym się ich pozbywać. Przystąpmy jednak do rzeczy.

Przeszedł do biurka i wrócił z grubym plikiem kartek. Rotas rozpoznał swój maszynopis.

– To dobra książka, panie Julianie – rzekł w skupieniu Stockenhausen. – Dotyka pan w niej ważnych spraw. Nie widzę tu pogoni za efektem, chowania się za piękną frazą. Przekazać opowieść jest najtrudniej. Żeby zainteresować czytelnika historią, trzeba samemu w nią uwierzyć. Pan uwierzył. Taka wiara w dzisiejszych czasach to prawdziwa rzadkość. – Wyłowił z maszynopisu kilka kartek i zaczął je przeglądać. – Historia jest na swój sposób zajmująca – kontynuował. – Oczywiście, wielu się oburzy na takie ukazanie Szekspira, ale pan jako pisarz ma prawo snuć własne fantazje. No i ten Marlowe... w pana ujęciu jest naprawdę przekonujący. Autor *Fausta* sam staje się Faustem. Nieco ryzykowne, ale pan wyszedł z tego obronną ręką. Jak choćby tutaj: śmiertelnie ranny Marlowe dokonuje rozrachunku z przeszłością, posługując się cytatami z własnej sztuki. Rzeczywistość splata się z fikcją. Kiedy czytałem tę scenę, miałem wrażenie, jakbym przy tym był. – Stockenhausen odłożył kartki na stolik i rozparłszy się wygodnie na fotelu, spojrzał przenikliwie na Juliana. – Właśnie to przekonało mnie ostatecznie do

pańskiej powieści – podjął życzliwie. – Metafizyka. Tajemnica. Dopuszcza pan myśl, że to, co widzimy, jest zaledwie fragmentem rzeczywistości, tą częścią świata, która jest przed nami odkryta. Resztę musimy poznawać sami. Bo odkąd łuski spadły nam z oczu, jesteśmy skazani na trud poznawania. Wie pan, co mam na myśli?

– Owoc z rajskiego drzewa poznania.

– W samej rzeczy – przytaknął Stockenhausen z ożywieniem. Raptem zmienił temat rozmowy. – Wysyłał już pan książkę do jakiegoś wydawnictwa, zgadza się? Do kogo?

Julian zawahał się. Zbliżała się najtrudniejsza część rozmowy. Wydziwianie na wydawców, krytykowanie opieszałości redaktorów – lecz wszystko to podszyte aluzją, że książka widocznie nie jest wystarczająco dobra.

– Rękopis zaproponowałem siedmiu wydawcom – odpowiedział nienaturalnie głośno, jak człowiek, który się broni. – Wszyscy odrzucili.

– Siedmiu? To niewiele. Czemu robi pan zdziwioną minę? Proszę posłuchać. Podczas kilkuletniego pobytu w Paryżu miałem okazję przyjrzeć się pracy jednego z tamtejszych wydawnictw. Editions de Minuit. Oficyna nieduża, ale dosyć znana, istnieją na rynku ponad pół wieku. Wsławili się między innymi tym, że jako pierwsi wydawali Sartre'a i Becketta. Ale do czego zmierzam. W ciągu roku napływa do nich ponad dwa i pół tysiąca maszynopisów od debiutantów. I wie pan, ile z tego wybierają do publikacji? Jeden tytuł! No, czasem dwa. Czy naprawdę wierzy pan, że można wyłowić z takiej masy rzecz zdecydowanie najlepszą? Gdyby przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku nie robili nic innego poza czytaniem nadesłanych prac, to musieliby dziennie uporać się z siedmioma tekstami! A jest tam ich w redakcji bodajże dziesięć osób, które przecież mają także inne zajęcia. Oczywiście, zlecają czytanie również redaktorom współpracującym z wydawnictwem, ale jakkolwiek by na to spojrzeć, wniosek nasuwa się jeden: o wyborze często decyduje przypadek. Ślepy los.

Stockenhausen przerwał i pochylony nad stolikiem zaczął pedantycznie układać kartki maszynopisu. Julian patrzył jak zauroczony. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że książka znalazła się w odpowiednich rękach. Z drugiej strony nie mógł się pozbyć wrażenia, że sprawy wymykają się spod kontroli. Dziwne uczucie. Bo niby cóż złego miałyby się zdarzyć? Zdając się na ślepy los, tym bardziej godził się na to, że nie będzie miał żadnej kontroli nad przyszłością książki.

Stockenhausen skończył porządkować strony. Przysunął bliżej maszynopis. Julian odetchnął z ulgą.

– Kiedy do wydawnictwa napływa nowa propozycja Wilniaka albo Starnickiego – szef TeNeT-u podjął tonem dalekim od mentorstwa – wszyscy się na nią rzucają, każdy chciałby przeczytać pierwszy. Debiutanci trafiają do wielkiego wora. Większość zostaje w nim na zawsze. Jeśli nie chce pan podzielić losu większości, trzeba zabrać się do tego inaczej. Mogę w tym pomóc.

– Jako agent literacki? Obawiam się, że niewiele pan na mnie zarobi.

Stockenhausen zaśmiał się szczerze.

– Nie nazwałbym siebie agentem. Prędzej już sponsorem. Dawniej takich jak ja nazywano mecenasami sztuki albo patronami artystów. W pana maszynopisie widzę materiał na dobrą książkę. Jestem pewny, że odniesie sukces. – Przerwał, jak gdyby chciał, by jego ostatnie słowa zapadły rozmówcy w pamięć.

Julian poruszył się niespokojnie.

– Zastanawia się pan pewnie, czego oczekuję w zamian? – ciągnął Stockenhausen. – Nie interesują mnie pieniądze. Przynajmniej nie jest to główny powód. Nie żądam też podpisywania umowy. Wszystkich formalności dopełnimy wówczas, kiedy będzie pan miał pewność, że chce się ze mną związać na stałe. Więc jak? To chyba uczciwe postawienie sprawy?

Rotas był zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Uniósł się na krześle i uściskał wyciągniętą do niego rękę. Stockenhausen chwilę przytrzymał mu dłoń, powtarzając kilkakrotnie:

– Cieszę się, panie Julianie. Naprawdę się cieszę.

Z szuflady biurka wyjął nową tekturową teczkę, ułożył w niej starannie maszynopis i napisawszy coś na wierzchu, schował teczkę do biurka. Wrócił do Juliana z grubym notesem i zaczął go kartkować.

– Zastanówmy się, kogo wybrać – myślał głośno. – Nasze Słowo odpada. Pańska książka nie pasuje do sieczki, którą teraz wydają. Może Superior? Nie, ostatnio za dużo zainwestowali w przekłady i pewnie niedługo padną. Lepsza byłaby jakaś mniejsza oficyna. O, na przykład Domino. Sparzyli się, wznawiając nagrodzoną powieść Gorczycy, i teraz szukają okazji, żeby się odegrać. Potrzebują sukcesu i pieniędzy. Pańska książka może im to zapewnić.

Julian nawet nie próbował wyjaśniać, że właśnie dostał odmowny list z Domina. Kiedy pół godziny później żegnał się z gospodarzem, był dobrej myśli. Święcie wierzył, że w ciągu dwóch, trzech dni ktoś z Domina odezwie się do niego. Bo też Stockenhausonowi trudno nie wierzyć – mówił do siebie, kiedy mijał siedzibę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w której zazwyczaj obradowali członkowie kapituły Nagrody im. Sztiglera. Stockenhausen ma wyjątkowy dar przekonywania. I zna się na ludziach. Ktoś taki potrafi dochodzić do celu.